Nr. 22. Warszawa, dnia 3 Czerwca (22 Maja) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

„NAD-CZŁOWIEK.“

Bismark został usunięty od władzy, ale nie został usunięty z dziejów, w których pozostanie jako jedna z najpotężniejszych i najstraszniejszych postaci XIX w. Gdy rachunki jego życia publicznego zostały zamknięte, historya zaczyna je rozpatrywać, badać i obliczać czyny oraz charakter tego człowieka. Poniekąd nawet traktuje go ona, jak gdyby już nie żył: ogłasza dokumenty i najpoufniejsze listy, sprawdza ich wiarogodność, wyciąga z nich wnioski, nie krępuje się w wyrokach — zupełnie jak gdyby mówiła o Richelieum lub Cavourze. W ostatnich latach wydano mnóstwo dowodów, rzucających światło na „żelaznego księcia“; wyznać wszakże musimy, że chociaż uzupełniają one jego obraz szczegółowy, nie dodają nowych rysów. Bismark pomimo całej swej wyjątkowości jest osobistością wyraźną, przejrzystą, nadzwyczaj mało złożoną i jak gdyby odlaną z jednego pierwiastku. Co do jego natury nie może o nim być dwu zdań, gdyż wszyscy — wielbiciele i wrogowie — widzą w nim człowieka twardego, surowego, niezmiękczonego nigdy żadnem uczuciem, wyznającego bałwochwalczą cześć tylko dla siły — fizycznej. Nie ma on upodobań, słabostek, uprzedzeń, nawet zasad, posiada tylko bystry i przebiegły rozum, umiejący rozpoznać położenie i szybko je wyzyskać. Takim występuje również w świeżo ogłoszonych listach, pisanych do Gerlacha, adjutanta królewskiego, z Frankfurtu, gdzie był pełnomocnikiem Prus przy niemieckim sejmie związkowym. Na czele rządu pruskiego stał wówczas Manteuffel, którego Bismark wraz ze swoim przyjacielem uważał za głupca i przeciw któremu intrygował. Gdyby jakiś ambasador podminowywał go tak, kiedy piastował godność kanclerza, poczytałby go za zbrodniarza i zmiażdżył tak, jak Arnima. Ale zasady rzetelności w stosunkach urzędowych nie uważał za obowiązującą dla siebie, gdyż nie uważał za ogólną żadnej. Co wolno było jemu przeciw Manteuflowi, nie wolno było nikomu przeciw niemu. Już wówczas (przed 40 laty) sam akcentuje w sobie zupełną niezależność od jakichkolwiek reguł i pobudek uczuciowych. Świętym — według niego — jest tylko interes, dobrym każdy środek, który prowadzi do celu. Jeżeli dyabeł jest silny, trzeba mu ulegać, a jeżeli może być pożyteczny, trzeba się z nim przyjaźnić. Z wielu niezmiernie charakterystycznych ustępów jego korespondencyi przytoczymy jeden. Stwardniali w swych zasadach politycy pruscy (1857) gorszyli się tem, że Bismark okazywał pewną sympatyę dla francuzów, a nawet Gerlach uważał, że Napoleon III mu „imponuje.“ Na to odpowiada Bismark: „Zdolność podziwiania ludzi jest we mnie bardzo mało rozwinięta i stanowi to raczej wadę mojego oka, że ono wyraźniej dostrzega słabości, niż przymioty... Monarcha prawowity, jak np. Ludwik XIV, jest żywiołem równie wrogim (dla Prus), jak Napoleon I i gdyby następcy tego ostatniego przyszła myśl abdykacyi, nie wyświadczyłby on nam przez to żadnej usługi; Henryk V nie nastąpiłby po nim, a nawet gdyby go chciano posadzić na opróżnionym tronie, nie utrzymałby się na nim. Jako romantyk (!) mogę uronić łzę nad jego losem, jako dyplomata służyłbym mu, gdybym był francuzem; ale w obecnem położeniu Francya, bez względu na to, kto stoi na jej czele, jest dla mnie tylko figurką — i to niezbędną w politycznej partyi szachów... Sympatye i antypatye ku zagranicznym mocarstwom i osobom nie mogą usprawiedliwić przed mojem uczuciem obowiązku w służbie spraw zewnętrznych mojego kraju, ani w sobie, ani w innych; tkwi bowiem w takich sentymentach zarodek wiarołomstwa względem swego pana i kraju... Regułą postępowania z obcymi rządami nie jest dla mnie przyjaźń lub odraza, lecz szkodliwość lub użyteczność dla Prus.“ Gdy mu Gerlach doniósł, że go w Berlinie nazywają „bonapartystą,“ zaśmiał się w odpowiedzi całem gardłem i oświadczył przyjacielowi, że go ten epitet nie obraża, jak go dawniej nie obrażał inny — „kozak nadsprejski.“ Bo kimkolwiek wydawał się z pozoru, w duszy był ciągle prusakiem, obcym i niedostępnym dla wszelkich innych pobudek, prócz osobistego i politycznego samolubstwa.

W jednym z listów spogląda w głąb tej swojej egoistycznej duszy i zapytuje siebie: czy nie ma w niej jakiejś odrobiny sympatyi dla kogoś lub czegoś? Znajduje coś podobnego dla... Anglii, ale zaraz dodaje: „Gdyby mi wszakże dowiedziono, że tego potrzeba dla interesu zdrowej i trzeźwej polityki, z *tem samem* zadowoleniem patrzałbym jak nasze wojska strzelają do francuskich, ruskich, austryackich lub angielskich.“ Przypatrywałby się takiemu widokowi nie z większą lub mniejszą obojętnością, ale z tem samem *zadowoleniem*.

Oto jest człowiek z jednej masy, ukuty młotem boga interesu, któremu po stalowych nerwach nie przebiegł nigdy dreszcz serca. Stanowi to najgłębszy i najstalszy rys jego charakteru, który kierował jego czynami od pierwszej do ostatniej chwili walki. Mogą niemcy żałować, że sterem nawy państwowej nie kieruje już ta żelazna ręka, ale dla Europy ubezwładnienie takiego „nad-człowieka“ jest wielkiem dobrodziejstwem.

Z NIEMIEC.

Berlin, 27 maja.

Przed trzema laty a dzisiaj. — Ostatnie słowo militaryzmu. — Zachowanie się sejmu i powody. — Rokosz włościan przeciwko militaryzmowi, wzrost prądów separatycznych. — Zachwianie stanowiska centrum. — Następstwa.

Przed laty trzema! Niemcy, wyzwolone z pod jarzma samowoli ex-majordoma, uroczyście obchodziły to wielkie święto narodowe, zwiastujące swobodę rozwoju kulturalnego; polityka kagańcowa chwiała się w swoich posadach, a wraz z nią brutalne wszechwładztwo baronów gorzelnianych i królików wielkoprzemysłowych. Dekrety cesarskie z dnia 9 lutego 1890 obwieszczały, że najwyższe władze zamierzają zabrać się do reform, mających na celu podniesienie dobrobytu warstw ludowych; zwłaszcza w Berlinie konferencya międzynarodowa miała wypracować zasady daleko idącego prawodawstwa fabryczno-ochronnego. Atoli czas rozwiał wszelkie ułudy, w nicość obrócił i wyszydził plany reformacyjne. „Nowy kurs“ odświętował już swoje lata porywów młodzieńczych i śmiało zmierza w kierunku, budzącym zakłopotanie w umysłach szczerych patryotów niemieckich, którym nie idzie o wawrzyny sedańskie i wrzaski pijanej nienawiści rasowej, ale o istotny postęp duchowy ojczyzny, o to, aby Niemcy przodowały na polu kultury, dobrobytu ludowego i uczuć humanitarnych. Zaiste, z wrzasku kampanii wyborczej dają się słyszeć dzikie głosy, które nawet za wielkiego Ottona nie rozlegały się. Kiedy szata mrzonek opadła, obnażyła ona nieponętną rzeczywistość, z pod uniesień reformacyjnych wyjrzały koszary. Jako „romantyk,“ Wilhelm II wzniósł ideał reformy wojskowej, przewyższający swoim potwornym ogromem wszystko, co na tem polu dokonano podczas dwudziestoletniej dyktatury wszechwładnego junkra. Targi o projekt trwały kilka miesięcy; po za kulisami parlamentu i komisyi wojskowej toczyły się nieustające układy o zgodę, o odrzucenie planów w takiej formie, w jakiej je podał v. Huene, było niespodzianką dla Capiviego — blady i wzruszony, odczytał on akt, rozwiązujący nieposłuszne, a raczej dbające o losy kraju ciało prawodawcze. Nowe wybory odbędą się za kilka tygodni, a ponieważ możliwość powtórnego odrzucenia nie jest nieprawdopodobną, przeto prasa narodowo-liberalna i junkierska podały radę: zgniecenia obowiązującego dzisiaj prawa głosowania i usunięcia krnąbrnej opozycyi od udziału w sprawach państwowych. Plan ten datuje się już oddawna i możnaby nie zwracać na niego uwagi, gdyby nie okoliczność, że w ostatnich czasach Wilhelm II kilkakrotnie dał do zrozumienia, iż w razie nieprzyjęcia projektu wojskowego gotów jest posunąć się do zamachu stanu. Społeczny *Weltschmerz* przeminął wśród odgłosu marszów, a łamanie kagańców może skończyć się na zamiarach już nie nałożenia nowego, ale wprost na zapędzeniu do budy kilkudziesięciu procentów ludności niemieckiej. Biedny Michel stanął oko w oko ze straszliwem widmem!

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że chodzi tu o jakieś względy polityki zagranicznej. Przeciwnie, dzisiejszy zatarg o militaryzm jest sprawą nawskroś wewnętrzną, klasową, a rozłam w łonie jednolitego dotychczas centrum i partyi wolnomyślnej jest odbiciem tego podkładu. Zaznaczmy, że obecnie w Niemczech nikt nie protestuje przeciwko potrzebie stanowiska obronnego. Zarówno Bebel, jak i najbardziej zapalony junkier przyznają, że ojczyzna niemiecka winna stanąć pod bronią. Spór toczy się tylko o formę, w jakiej należy zapewnić krajowi bezpieczeństwo. Właśnie mamy pod ręką wyborczą broszurę demokracyi społecznej. Dowodzi ona konieczności obrony, ale wymaga, aby to uczyniono na podstawie milicyi narodowej. Tymczasem junkrzy i narodowo-liberali nie chcą o tem słyszeć. Walka dzisiejsza w gruncie rzeczy jest kłótnią o to, jakim sposobem Niemcy mają być bronione. A rzecznicy militaryzmu są przejęci do tego stopnia potrzebą posiadania armii, oddzielonej od ludu i stojącej po za obrębem codziennych spraw kraju, że odwołali się nawet do prywatnej ofiarności swoich wyborców. W pierwszym tygodniu po rozwiązaniu sejmu każdy dzień przynosił zbiorowe odezwy berlińskich bankierów, królewiąt węgla i możnowładców giełdy, wzywające do samoopodatkowania się — w imię stateczności porządku społecznego. Niepodobna chyba jaśniej wypowiedzieć klasowego charakteru odrzuconego projektu. Ten duch unosił się nad obradami sejmu. Centrum, jeszcze w przededniu ostatecznego głosowania nie wiedziało, jak się zachowa jego większość; wolnomyślni wahali się do ostatka! A ponieważ wybory, odbywające się pod hasłem projektu militarnego, grożą wzmocnieniem krańcowej opozycyi aż do 50 osób; ponieważ dalsze zatargi jedynie będą zgarniały wodę na ten młyn, przeto jest rzeczą możliwą, że reforma wojskowa zostanie przyjęta dla okiełznania wzrastającej potęgi myśli opozycyjnej. Stan umysłów jest dzisiaj takim, że żadna partya, prócz junkrów i społecznych demokratów, nie wie, na jakim świecie stoi. Ażeby to pojąć, przyjrzyjmy się zblizka czynnikom, które wpłynęły na rozwiązanie Izby.

Już zaznaczyliśmy, że centrum i wolnomyślni wahali się jeszcze w ostatniej chwili. Dwie dusze mieszkały w ciałach panów deputowanych: jedna chciała chętnie przyklasnąć militaryzmowi, ale druga lękała się go. Ciekawem jest źródło tej obawy. Centrum jest partyą, złożoną z najrozmaitszych żywiołów. Póki panował „kulturkampf,“ jednoczyła je wspólna obrona zagrożonej swobody sumienia, a tłumy włościańskie i drobnomiejskie, zranione przez biurokracyę pruską w swoich najświętszych uczuciach, mało o to dbały, kto im przewodził w walce parlamentarnej, więc przebaczały baronom i księżom wiele czynów. Karność w partyi była wzorową, a posłuszeństwo tłumów takiem, że zjednało im nazwę trzody baraniej, strzyżonej przez czarną międzynarodówkę. Przewódcy, licząc na to posłuszeństwo, przechylali się do projektu rządowego. Włościanin, dziecko zaścianku wioskowego, przymocowany do niewielkiego zagona niby polip do swojej kolonii, odznacza się wszędzie i zawsze niedołęztwem politycznem. Są jednak rzeczy, które dobrze pojmuje, bo wybornie odczuwa na swojej skórze. Jest to z jednej strony militaryzm, z drugiej rosnące z tego powodu ciężary podatkowe. Służba bowiem wojskowa przygniata z każdym rokiem coraz mocniej barki włościanina. Miasto działa na ludność, która zbiega się do niego i tam znajduje zarobek, w naj-

---

[1])

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

I.

Tam, na zachodzie, łamie się morze siedem mil długie; wybrzeże nizkie, piaszczyste.

To prawdziwe morze. Morze północne, szerokie i pełne, niewyrzeźbione, niepodarte, bez końca. W czarno-zielonych, słonych, potężnych falach stacza się ze stref zachodnich, gnane burzami lodów północnych i kanału, wyprowadzając z mgły morskiej bałwany, niby konie o białych grzywach — aż podnosi się rozhukana toń, z najdalszych głębin dobywając swój grzmiący, pełny, odwieczny ton organów. Potem rzuca się o brzeg i rozpryskuje w białą pianę, z chlustem, hukiem i długiem wyciem, które zamiera w głuchym pomruku.

Od nizkiego, piaszczystego wybrzeża ciągnie się nędzny, szary szmat ziemi, o pagórkach brunatną krzęcinką pokrytych, o bladych mchach, o powłoce ze żwiru granitowego, bez drzew i bez zagonów uprawnych — płaszczyzna, zamknięta od wschodu długą, nizką ścianą fioletu. Bezbrzeżnym wydaje się ten nagi step. Lecz tu i owdzie czerni się samotna kałuża, która wysycha, albo wielkie, ciche jezioro. Tu wiatr świszcze dniem i nocą, a szare chmury zwieszają się nizko nad tą pustką, w której zając umyka od kamienia do kamienia, a różne, brunatne, ciche, dzikie ptactwo siedzi w ukrytych gniazdach i drzemie.

Po nad tem wszystkiem rozpięło się niebo, szerokie i szare, od wzgórz do morza i jeszcze dalej, dokąd oko sięga — jedyna jasność nad tą ziemią. Kędykolwiek się zwrócisz, masz je przed sobą. Wprawdzie zwiesza się zawsze chmur i deszczu pełne. Czasem opada nizko na ziemię i spowija ją w dżdżystą rosę i mgły — niby w płachtę. A potem deszcz pada, pada, aż wszystko płynie.

Tu i tam, na górach i pagórkach, nizkie domki skupiły się w małych gromadach, niby ochrony szukając. Napół skryły się w gęstem powietrzu, owinęły się w opary z torfu i wód, osnuły się nimi, jakby snem; do karlich gniazd podobne, rozsypały się po gruzach. Wokoło domków migają bladą zielenią szmaty roli i łąk, niby wyspy na tej pustce stepowej; każdy szmatek i każdy pasek otoczony jest wałami i kamieniami i zamknięty niby długą więcierzą.

W tych domostwach mieszka lud.

Jest to lud silny i ciężki, który przedziera się przez życie, biedzony myślą i udręką, chodzi koło roli i przeszukuje jej warstwy, z ziemi wyciąga żyto, a ze snów nadzieję, w szeląg wierzy, a Bogiem się pociesza.

II.

Chłodem i spokojem zawisł dzień jesienny nad ziemią i morzem. Zbliżał się wieczór.

Niebo pokryło się szarą zasłoną, słońce schowało się w mgły na zachodzie; tu i owdzie leżały długie, błękitne pasy nieba i spoczywały.

Przeleciała burza, potem jednak wicher ucichł, jak to często bywa ku wieczorowi. Zaległa taka cisza, że można było słyszeć własne tchnienie.

Zmrok zapadł ciemny i zimny. Poświst źródeł i strumieni ostro przerzynał powietrze. Wysoko ponad gruzami szybowały ku zachodowi dwa duże, czarne ptaki. Gdzieś daleko, na północnym wschodzie pobekiwał ślimak błotny, niby koń z piekła.

Enoch Haawe drgnął, trzęsąc się na swoim miejskim wózku w powrotnej drodze przez wzgórza Haalandzkie. Ten dyabelski śmiech, wśród ciszy wieczornej, dźwięczał tak przeraźliwie. „Huit, koniku!“ najmądrzej będzie jechać śmiało, naprzód! Do domu miał jeszcze dobry kawał drogi.

Pogrążony był w głębokiej zadumie, a opalone jego oblicze, o powiekach spuszczonych, o wyrazie strapienia wokoło ust,

wyższym stopniu zwyradniająco: wzrost zniża się, cały organizm karłowacieje, a zatem wieś musi dostarczać coraz większej liczby rekrutów. W państwie pruskiem na 100 młodzieńców, stawających do superewizyi, wieś daje wojsku trzy razy tyle szeregowców, co miasto, a z wzrostem rozmiarów potęgi zbrojnej ten wyzysk ludności wiejskiej przybierze coraz większe rozmiary. Jest zaś rzeczą zbyteczną dowodzić, jakie znaczenie dla drobnego gospodarstwa rolnego posiada obecność lub niedostatek własnej siły roboczej — już z tego więc powodu militaryzm jest i będzie dla niemieckiego włościanina istną solą w oku. Powtóre, pociąga on za sobą nieustający wzrost podatków, które wprawdzie, dzięki temu, że są pobierane w formie pośredniej, nie rzucają się w oczy, ale dają mocno uczuć swoją obecność. Daniny podatkowe, pobierane od produktów spożywczych wprost przez państwo, wynosiły 248 mil. marek w r. 1874/5, obecnie zaś podskoczyły do 756! Każdy funt chleba opłaca dwa fenigi podatku, funt szmalcu — pięć, soli — sześć, cukru — dziewięć, kawy — dwadzieścia. Broszury wyborcze, walczące przeciwko militaryzmowi, podają, że w ciągu ostatniego dwudziestolecia wydano w Niemczech tyle na cele wojskowe, że gdyby tę sumę rozdzielono pomiędzy ludność kraju, wtedy każda rodzina, złożona z pięciu osób, dostałaby 1,349 marek! Otóż włościanin niemiecki poczyna przeciwko temu protestować, a rozłam, który nastąpił w łonie centrum, jest świadectwem, że ono uznało za konieczne liczyć się z tym przełomem. Zwłaszcza ostre formy przyjmuje ten protest w Bawaryi i w Badenie, dając początek silnemu prądowi separatystycznemu. Chłop wszystko złe, które go spotyka: taniość produktu rolnego i spadek dochodów — przypisuje poborowi i podatkom, te zaś łączy w nierozerwalną całość z „prusakami" i jednością ojczyzny niemieckiej. Ulubioną dzisiaj piosnką włościanina bawarskiego jest śpiewka:

...der Teufli ist schwartz,
doch weiss ist Tod;
schwartz-weiss ist preussisch,
b'hüt uns Gott! *)

*) Dyabeł jest czarny, a śmierć biała; biało-czarnym jest prusak — Boże nas strzeż!

przy każdej sposobności nie omieszka on zanucić jej temu, kogo uważa za prusaka. Dochodzi do tego, że centrum nie wystawia kandydatur byłych wojskowych w Bawaryi, gdyż przepadliby. Prądy ultramontańsko-demokratyczne, z natury swojej zaściankowe, usiłują wyzyskać to położenie. Centrum w pierwszej chwili nie liczyło się z tą niechęcią do militaryzmu, nurtującą koła włościańskie. Kiedy dały się słyszeć pierwsze wieści o odrzuconym projekcie, przyjęło ono dwuznaczną postawę. Obóz ultramontanów-demokratów rzucił się wtedy do agitacyi przeciwko urzędowej partyi katolickiej, a wybory w bawarskim okręgu heilheimskim dowiodły, że przewodnicy feodalni stoją wobec zmienionego usposobienia. O nauczce niebawem zapomniano, a raczej nie sądzono, że jest ona poważną. Ale w kilka miesięcy wystąpił objaw bardziej zatrważający — mimo opozycyi całego centrum wybrano ultramontańskiego demokratę Fusnagla. Teraz znowu nadchodzą wybory w Bawaryi do miejscowego sejmu, skąd pochodzi aż trzecia część wszystkich posłów centrum do sejmu ogólno-niemieckiego. Korzystając z dwuznacznej postawy tej partyi, demokraci ultramontańscy i społeczni pociągnęli na wieś bawarską, walcząc przeciwko wpływom centrum. Gdyby stronnictwo katolickie podało było głos za wnioskiem rządowym, może nie pozostałoby po nim śladu w Bawaryi, władza w tamtejszym landtagu wyślizgnęłaby mu się z rąk, a za dwa lata odpokutowaliby powtórnie przy wyborach do sejmu ogólno-niemieckiego. Podobny widok przedstawiają tłumy włościańskie w Westfalii i na Szlązku. Nawet w Poznaniu zerwała się burza nad głowami koła polskiego, wiernego sprzymierzeńca feodałów! Te okoliczności sprawiły, że centrum stanęło przeciwko projektowi i dzisiaj buńczucznie nadrabia miną. Ale czy nie zmieni taktyki, kiedy wybory do sejmu bawarskiego i niemieckiego będą już uskutecznione, a pięcioletni okres nieodpowiedzialności pozwoli ufać, że czas zatarł urazy wyborców? Nikt na to dzisiaj nie zdoła odpowiedzieć. Podobnież obóz wolnomyślny działał pod wpływem takiego samego nacisku — ze strony miast. Partya ta istnieje poniekąd dzięki łasce demokracyi społecznej. Kiedy odbywały się wybory do obecnego sejmu, przy pierwszem głosowaniu przeprowadziła zaledwie kilku kandydatów, przy ściślejszem — kilkudziesięciu, ponieważ przewódcy demokracyi społecznej wydali odpowiednie hasło.

Tak mniej więcej przedstawia się stan rzeczy. Zwiastuje on olbrzymi przełom w wewnętrznem życiu politycznem Niemiec. Dotychczas stronnictwa parlamentarne robiły, co im się spodobało, a Michel milczał. Dzisiaj ocknął się ze snu — wśród ludności wiejskiej, miejska bowiem oddawna rozstała się z tradycyjną bezwładnością. Atoli położenie przybiera charakter jeszcze poważniejszy. Włościanin był dotychczas opoką zachowawczości społecznej; Schäffle swego czasu żartował, że póki istnieje drobny posiadacz, dopóty wszystkie opozycye rozbijać się będą o twardą mózgownicę chłopa i będą przytłumiane przez syna jego, służącego w armii. Mijają dzisiaj piękne dnie zachowawczego Aranjuezu. Bankructwo rozogniło namiętności na wsi i umożliwiło wzrost antysemityzmu. Później chłop skierował uwagę na militaryzm i w swojej zaściankowości z całą ciasnotą, jak rzekł Schäffle, twardej mózgownicy zwrócił się przeciwko niemu. Teraz daje posłuch tylko temu, kto dalej zajdzie w napaściach na tę instytucyę. A nikt w tej mierze nie przewyższa demokracyi społecznej. Czuje to dobrze rząd, jako też wszystkie partye. Każda odezwa centrum zdradza tę obawę. Trudno przewidzieć, jak przyszłość rozwiąże tę kwestyę, dzisiaj poprzestaniemy jedynie na wskazaniu zamętu.

K. R. Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W przygotowaniach wyborczych do sejmu niemieckiego wszystkie stronnictwa przepowiadają sobie jawnie zwycięztwo i wszystkie — po cichu — obawiają się porażki. Jedne bowiem są zdyskredytowane, inne — rozdarte. Najsmutniej spoglądają w przyszłość postępowcy i centrum. To ostatnie nareszcie ogłosiło swój program, w którym, powtórzywszy stary pacierz polityczno-społeczny, oświadczyło się przeciw projekto-

---

wyglądało niespokojnie i frasobliwie. Kiedyż więc wreszcie zabierze się do tego na seryo? Jak długo jeszcze kręcić się będzie niby syn grzechu i czyż nigdy już spokoju nie znajdzie? Przecież nie na całe trwanie życia zaprzedał się szatanowi! — jak niedawno rzekł Lars Danielsen podczas rekolekcyi. A zresztą — całe to trwanie życia... „Głupcze, tejże nocy zażądają od ciebie duszy..." i na cóż zda mu się natenczas trochę mienia, które tutaj zebrał?

Ale on nawet nie „zbierał." Raczej przeciwnie. Spadek Anny poszedł na upłodnienie roli, a jednak uprawiono nie więcej, niż połowę ugoru. Przy tak chudej ziemi dużo mogło upłynąć czasu, zanim pieniądz się wróci. Przynajmniej dobrze, że zostało srebro i złote obrączki... „Póki jest srebro w domu, człek nie jest żebrakiem" — mawiał często ojciec. Ale Enoch miał tu i owdzie długi, u kupca za towary, u Simona Ramstada za krowę; Hans, parobek, miał w marcu otrzymać swoją zapłatę, a nadto jeszcze podatki, które rosły, rosły... Chciał co sprzedać — dawano mało; chciał co kupić, żądano niemożliwie dużo; ze wszystkich stron ciasno było i skąpo, aż do reszty otucha człowieka opuścić mogła. A dzieci podrastały, a trzewiki, sukienki sprawiać trzeba — niema rady!

Brakło błogosławieństwa. Nic nie trwało, kiedy Bóg nie pomagał; i w doczesnych sprawach nie opłacało się służyć biesowi.

Ach tak, tak!

Żeby to się módz przezwyciężyć i stać się dzieckiem bożem. Możnaby wtedy i spokojnym być co do spraw ziemskich. Zdać troskę na Pana, który nawet o młodych krukach pamiętał. A jako stoi w katechiźmie: „Kim opiekuje się Bóg najwięcej? Swojemi wierzącemi dziećmi." A także: „Czy jest stąd pożytek, gdy się kocha Boga? Jest, wielki pożytek; bo wiemy, że tym, którzy kochają Boga, wszystko na dobre wychodzi." Módz polegać na samym Bogu! Wolnym być od wszelkich obaw; wolnym od lęków i niepokojów!.. Enoch przez całe swoje życie nie miał jeszcze ani jednego wesołego dnia. Była w nim jakaś niezgoda, której sam nie pojmował, węzeł jakiś ściskał mu pierś, nie rozluźniając się nigdy. Zawsze kroczył tak, jak gdyby popełniał coś złego, jak gdyby miał przyczyny do jakichś obaw; nigdy nie czuł się bezpiecznym, nigdy nie siadł w spokoju, bodaj we własnej izbie. A kiedy mu się już zdawało, że jest wesół, przez jakiś czas, w dobrem towarzystwie, albo świeżym przy pracy — niepokój jednak go nie opuszczał i gryzł, i wesołość była tylko pozorną. I gnało go coś od jednej rzeczy do drugiej — bezprzytomnie; wszystko, co było nowe, zagłuszało w nim ów niepokój na krótki czas, ale tylko na czas krótki; potem — wracał i było w Enochu wszystko, jak dawniej. Tak, tak; albo czego innego mógł się spodziewać; tak dzieje się tym, którzy z Bogiem w zgodzie nie żyją; a do niepokoju dość chyba było przyczyny, skoro każda godzina zbliżała go coraz bardziej do otchłani piekielnej.

Szkapa stanęła tak, że o mało nie spadł na głowę; droga szła pod górę, koń domagał się, aby mu ulżyć. Enoch zsiadł z wózka i zaczął się piąć po wzgórzu pieszo. Był to mężczyzna średniego wzrostu, o barkach szerokich, dobrze zbudowany; wyglądał pokaźnie i trzymał się prosto; lecz głowa pochylała się, jakby pod brzemieniem, a znużone, zadumane źrenice patrzyły nieruchomie w dół.

Wokoło zaległa dziwna cisza, ciemniało i ciemniało. Pustym i próżnym wydawał się świat. Znikąd — dźwięku, znikąd — życia; on jeden i brunatna szkapa w pośrodku tego ciemnego wzgórza. „Ach, prawda, Bóg jest z nami... dniem i nocą!"

Wjechał na szczyt, wstrzymał konia i wsiadł znowu na wózek. Pst... co to? Hm... Stanął i nadsłuchiwał. Zupełnie tak, jak to sobie wyobrażał. Coś w tem było; zwykle bywało coś w takiej nagłej ciszy... „Huit, naprzód, koniku!" — popędził. Nie podobało mu się to wszystko.

Wśród grobowej ciszy, jaka panowała w powietrzu, rozległ się ciężki, głuchy łoskot, szum, który wypełnił całą przestrzeń. Podnosił się zewsząd i znikąd, najłacniej chyba z północnego wschodu, z owego pustego zakątka, gdzie kończył się ląd a zaczynało morze, wyrzucony wprost z mglistych światów lodu północnego. Rzekłbyś, że w powietrzu huczy głuchym, gniewnym tonem; morze zakipiało w najdalszych głę-

wi wojskowemu. Ale stary wódz tego zastępu, Schortemer Alst, odłączył się od towarzyszów i wydał własny manifest, wzywający do zgody z rządem. *Germania* a za nią inne pisma ultramontańskie karcą go za to odszczepieństwo, które po części tłomaczą... chorobą sercową i rozdrażnieniem. Wszystko to być może, a jednak nie przestaje być zgubą dla partyi. Trzymała się ona i zwyciężała dzięki swym znakomitym przewodnikom, których straciła: Windhorst umarł, Huene i Schorlemer-Alst przeszli do obozu rządowego, kto będzie Mojżeszem osieroconego ludu? Hr. Ballestrem? Gdyby to poważna mina wystarczała do wygrywania trudnych bitew parlamentarnych!

Jak śliskim jest ich grunt, doświadczył tego stary, wyćwiczony bojownik, członek stronnictwa postępowego Baumbach. W mowie wyborczej wspomniał on, że ambasador francuski upewnił go o nieistnieniu przymierza między Rosyą a Francyą. Zaskoczony tą niespodzianką Herbette naprzód publicznie wyparł się przypisanych mu słów, następnie przyznał, że rozmawiał u kanclerza na obiedzie z Baumbachem, ale był przez niego, nieumiejącego po francusku, źle zrozumianym. Pomijając tę okoliczność, że zaprzeczenie istnienia sojuszu rusko-francuskiego mogło być zarówno krokiem dyplomatycznym, jak niepotrzebną otwartością, uraziła wszystkich, wrażliwych na względy przyzwoitości, ta paplanina Baumbacha. Grupa też, do której należał w Izbie panów, postanowiła go wyłączyć ze swego grona, nadto niektóre dzienniki natarły mu uszów. W Paryżu nie tyle samo odkrycie, ściśle biorąc nic nieodkrywające, ile fakt rozmowy w drażliwej kwestyi ambasadora francuskiego z niemcem i ujawnienie zwierzeń nie podobało się wielu. To też Herbette musiał wziąć urlop i wyjechać z Berlina dla usprawiedliwienia się przed rządem. Jeśli pozostanie na swem stanowisku, będzie ostrożniejszy wobec Baumbachów.

Rząd francuski przegrał walkę z Izbą i to w dość ważnej sprawie: mianowicie pomimo oporu prezesa ministrów uchwaliła ona, że o mandat poselski nie może się starać nikt, pełniący płatne obowiązki publiczne. Wszyscy tedy urzędnicy zostali pozbawieni prawa kandydowania do Izby. Dupuy nie wywnioskował z tego postanowienia dymisyi dla siebie, uczuł jednak jej przedsmak. Było to pierwsze i dość silne wstrząśnienie jego stanowiskiem.

Grecya wpadła w kłopoty, z których nie widzi wyjścia. Zmieniła ministeryum, które właściwie samo cofnęło się od trudnego zadania, ale nie wynalazła dotąd sposobu wybrnięcia z długów. Te marne robaki, które toczą najzwyklejszych śmiertelników, zagryzają również państwa. Pomimo oszczędności w wydatkach i wyczerpania wszelkich źródeł dochodu, Grecya nie jest w stanie zapłacić bieżących procentów, a jeżeli nawet teraz je pokryje, za kilka miesięcy znajdzie się znowu nad przepaścią bankructwa. Wszyscy jej ministrowie nic nie pomogą, gdyż nie zdołają z jednej sztuki złota zrobić dwu — a papiery straciły wartość.

Król serbski polecił swemu rządowi wydać rozporządzenie, ażeby wybory odbyły się bez żadnego nacisku ze strony władz. Właściwie żaden nacisk nie był potrzebny, gdyż naród w każdym razie wybrałby przeważnie radykałów, tj. stronników dokonanego przewrotu i obecnego porządku rzeczy.

BADANIA NAUKOWE.

MAŁŻEŃSTWA KREWNIACZE.

II.

O początku zwyczaju exogamii wygłaszano rozmaite przypuszczenia. Lubbock stara się objaśnić ten zwyczaj przypuszczeniem wspólnych związków pierwotnych. Początkowo wszystkie kobiety danego pokolenia należały do wszystkich mężczyzn nikt nie mógł posiadać żadnej wyłącznie dla siebie samego, byłby to bowiem zamach na prawa współtowarzyszy. Ale za to każdy mógł mieć na własność kobietę, porwaną z obcego pokolenia. Otóż, zdaniem Lubbocka, to dążenie do osobistego posiadania kobiety było pierwotną przyczyną exogamii. Później, w miarę uobyczajania się ludu, gdy weszły już w zwyczaj indywidualne związki małżeńskie w obrębie pokolenia, siłą obyczaju zachowała się jednak exogamia tj. pobieranie za żony kobiet z obcych pokoleń. Inni badacze inaczej starali się objaśnić pochodzenie exogamii. Że w bardzo wielu wypadkach przyczyną była obawa o złe skutki połączeń krewniaczych dla potomstwa, na to mamy liczne dowody. Teorya szkodliwości konsangwinizmu jest np. bardzo rozpowszechniona u arabów. W „Hadith“ znajdujemy wyrażenie: „Żeń się z obcą, ażebyś nie płodził słabego potomstwa.“ Arab doszedł zatem na drodze empirycznej do przekonania, że dzieci ze związków krewniaczych są nędzne i słabowite. U niektórych innych narodów znajdujemy podobne przestrogi.

Najpotężniejszym atoli przeciwnikiem konsangwinizmu było chrześciaństwo. Jakkolwiek niewątpliwie działały tu czynniki etyczne i obyczajowe, to jednak z największą pewnością miały też wielką wagę względy praktyczne. Papież Grzegórz I pisał w r. 605: „Prawo państwa rzymskiego pozwala, aby syn i córka z jednego brata i siostry wstępowali w związek małżeński. Doświadczenie uczy nas jednak, że owoc takiego małżeństwa nie może być zdrowym.“ Wielu innych ojców kościoła wyraziło się w podobnym duchu. We wszystkich państwach ucywilizowanych prawo kanoniczne lub państwowe ogranicza też w rozmaity sposób związki tego rodzaju. Tak np. w Rosyi wzbronione są małżeństwa pomiędzy krewnymi do 7 stopnia, w Austryi i Szwajcaryi — 3 stopnia (wuj i siostrzenica, ciotka i siostrzeniec) oraz 4 (kuzynostwo — dzieci braci i sióstr) itd. itd. Jakkolwiek małżeństwa takie wzbronione są mniej lub więcej u wszystkich ludów ucywilizowanych, a niechęć do nich bardzo jest rozpowszechniona wskutek wiary w ich szkodliwość, jakkolwiek wreszcie złe skutki krewniaczych połączeń u roślin i zwierząt jaknajoczywiściej zostały stwierdzone, pomimo to jednak znajdujemy jeszcze pomiędzy uczonymi i lekarzami zwolenników konsangwinizmu. Tak np. Spelter wyraża w tej kwestyi następujące zdanie: „Pokrewieństwo samo przez się zdaje się nie odgrywać żadnej roli, ponieważ doświadczenie wykazuje, iż małżeństwa pomiędzy zupełnie zdrowymi krewnymi, wolnymi od chorób dziedzicznych, nie mogą

---

binach i podniosło się, jakby do ostatniej walki; chłop zadrżał z lęku i grozy przed tym zbliżającym się gniewem i wielkim dniem zaniku, który wyprzeć miał świat z jego szwów i pogrążyć ziemię w morze, a niebiosa zwinąć jako szatę.

To morze huczało.

Nocą musiała być ciężka burza na morzu — usiłował wmówić w siebie Enoch. Lecz nie mógł zagłuszyć swego niepokoju. „Słońce zagaśnie, a księżyc stanie się jako krew... a może i fale wodne zahuczą...“ A jeżeli to syn boży nadchodzi; jeżeli niebiosa zerwą się z trzaskiem i łoskotem, zabłysną wielkie puzony i zagrzmią głosem piorunów, że aż rozstąpią się mgły i zmarli powstaną...

— Huit, a no dalejże koniku!

Bił lejcami póty, póki szkapa nie popędziła truchtem. Strach, jak się to powoli wlecze; był już ciemny wieczór, on wciąż jeszcze jechał. A tu czeka go jeszcze to przykre wzgórze cmentarne.

...Ale nie, sędzia nie ukaże się tej nocy. Sześć tysięcy lat nie minęło jeszcze od stworzenia świata, a miał się przecież wtedy dopiero ukazać. Lecz kto nie miał Boga w sobie, trwożył się zawsze...

— Huit, dalejże!

Jednak musi się nawrócić — musi i chce. Tak dłużej żyć niepodobna. Każdy dzień mógł być ostatnim, a wcale nie powiedziano, czy będzie jeszcze czas, aby się rozmyślić. Nadto, skoro człowiek zawsze i wciąż opierał się łasce bożej, Bóg w końcu mógłby stracić cierpliwość, a wtedy człowiek stawał się zatwardziałym... Zatwardziałym! Było to tak ciężkie słowo, że aż zadrżał Enoch.

— Nie, wnet, jutro, zanim czas łaski minie... O Boże, nie porywaj mnie wśród wszystkich grzechów moich; o Boże, w wielkiej dobroci Twojej uczyń miłosierdzie...

Grzmiało i trzaskało, łoskot to był głuchy i ciężki. Enoch skurczył się na swoim wózku i dygotał. A jeżeli Pan jednak zestąpi? Nikt nie znał dnia i godziny, a słyszeliśmy o wojnie i o zgrozie wojennej... a grzech tak był wielki, że Bóg pewnie cierpliwość już stracił... Jeżeli jutro będzie za późno?... Huit, koniku!.. O Boże nie porywaj mnie... o Boże, bądź dobrotliw... Gdyby przynajmniej ten huk chciał ustać...

A oto wjechał na wzgórze cmentarne; tu nie lubiał być nigdy o późnej godzinie. Było tu tak pusto, tak czarno, tak od ludzi daleko; poza wielkimi kamieniami mogli czyhać cyganie i wszelkie inne zło. Tutaj ojciec jego widział kiedyś karłów — na jednem wzgórzu... stare przesądy i głupstwa; a jednak, jednak — coś w tem było. Niepodobna wiedzieć, co się tu zobaczy; dyabeł jest silny, a skoro się Boga nie ma przy sobie...

Gdyby ktoś nadszedł, gdyby był w towarzystwie! Tam, na dole płynął strumień, czarny i cichy, pod samym prawie stożkiem cmentarza; tu utonął ów syn starego pastora Inela... Ludzie mówili, że słychać było wołania. A poza tą wielką skałą, tu na górze, znaleziono Bertę Aalwestad, która zmarzła; zdawało mu się zawsze, jakoby jej trup siedział tu wciąż jeszcze na wzgórzu.

— Chciałbym wiedzieć, co też Gunnar wyprawia dziś wieczorem. Pewnie czuwać będzie, póki sił stanie. Czeka na ojca i na gościniec. Tak, gościniec dostaniesz, Gunnarku. Jutro, z samego rana, kiedy...

— Czy czegoś nie słychać? Nie. Dalejże!

Tak, jutro będzie dzień wesela. Dostanie nową czapkę i nowy katechizm z obrazem papieża, a co najlepsza — słodkie jabłuszka. Tak, tak, a jakże, i dziewuchy coś dostaną. Trzy dziewuchy, jedna po drugiej! Chłopak, który urodził się po Serinie, zmarł niebogi! Niema błogosławieństwa — nawet w tem. Ale, dzięki Bogu, że Gunnar tak dobrze się chowa — i zdrowym jest. Ma już dziesięć lat; będzie wkrótce ojcu pomocą. Byle nie zrobić sobie z niego bóstwa! Karcić go... „Kto nienawiść ma dla rózgi, kocha syna...“ Nie...

...Nie, nie mógł skupić myśli. Te ziemskie sprawy, które zazwyczaj aż nadto umysł jego wypełniały — nic, i one nie pomagały. Nie, nie, bez Boga nie ma spokoju... jutro, kiedy tylko przyjdzie do siebie... do jutra Pan chyba poczeka. — Dzięki Bogu, wiatr zaczynał dmuchać i powiewać; a więc może wkrótce huczeć przestanie. A potem za kościołem będzie mniej straszno. Naprzód, koniku!

Uczuł się odważniejszym; dziś wieczorem sąd ostateczny nie nastąpi. Bo i dla-

wpływać na zwyrodnienie potomstwa.“ Zdanie to jest jednak błędne, albowiem w hodowli rolniczej nie można wykazać ze stanowczością ani jednego przypadku, w którym przez dłuższy szereg pokoleń trzymanoby się wyłącznie chowu krewniaczego bez szkody dla potomstwa; pomimo najstaranniejszego doboru zwierząt, łączonych wzajemnie, występują wówczas objawy zwyrodnienia, których nie można sprowadzić do zboczeń dziedzicznych właściwych samym rodzicom.

Prof. Ed. Reich w słynnem swem dziele: „Erblichkeit und Gebrechen“ stara się również dowieść, „że blizkie pokrewieństwo zupełnie zdrowych rodziców bynajmniej nie szkodzi zdrowiu dzieci,“ powołując na dowód wyżej przez nas wspomnianą gminę Batz we Francyi.

Schiller-Tietz natomiast przytacza wielką ilość faktów, które okazują, że połączenia krewniacze są przyczyną wszelkiego rodzaju fizycznych i duchowych ułomności u potomstwa: wola, głuchoty i niemoty, ślepoty, nerwowości, tańca św. Wita, usposobień do wszelkiego rodzaju chorób, kretynizmu, idyotyzmu, niepłodności itd. itd. Powtórzymy tu niektóre z tych dowodów.

Liebreich, Hocquard i inni wykazali częste występowanie choroby ocznej, zwanej *retinitis pigmentosa*, u dzieci z małżeństw krewniaczych. Co się tyczy głuchoniemoty, to częste pojawienie się u dzieci pochodzących z małżeństw krewniaczych stwierdzili lekarze francuscy. We Francyi, według danych statystycznych 25—30% dzieci głuchoniemych pochodzi z rodziców spokrewnionych.

Najoczywistsze niebezpieczeństwo związków krewniaczych wynika ze statystyki, ogłoszonej w r. 1886 przez Towarzystwo lekarzy amerykańskich. Według niej: 13 małżeństw krewniaczych (kuzynostwo 3-go stopnia) zrodziło 71 dzieci, z których 42 zdrowych, a 29 chorowitych lub ułomnych; 120 małżeństw krewniaczych (kuzynostwo 2 stopnia) zrodziło 626 dzieci, pośród których 360 zdrowych, a 266 chorych lub ułomnych, 630 małżeństw (kuzynostwo 1 st.) zrodziło 2,911 dzieci, pośród których 955 zdrowych, a 1956 chorowitych lub ułomnych (67,2%), 12 małżeństw (wuj i ciotka z siostrzenicą i siostrzeńcem) zrodziło 53 dzieci, z których 10 zdrowych, a 43 chorowitych lub ułomnych (81,1½), wreszcie 27 małżeństw (podwójne kuzynostwo) zrodziło 154 dzieci, zpośród których tylko 21 zdrowych, a 133 chorowitych lub ułomnych, czyli aż 96,4%!

Liczby te — powiada Tietz — przemawiają same za siebie. Nie należy bynajmniej wątpić, iż z małżeństw, w których jedno z rodziców jest pijakiem nałogowym lub cierpi jaką chorobę nerwową albo umysłową..., często rodzi się potomstwo chorowite i zniedołężniałe, ale przypisywać wszystkie wadliwości i ułomności potomstwa zawiązkom patologicznym u rodziców i zaprzeczać wpływu połączeń krewniaczych na powstawanie zboczeń patologicznych jest to, zdaniem Schiller-Tietz'a „ciemny fanatyzm i niedorzeczność naukowa.“

G. Darwin starał się wykazać, że w Anglii liczba głuchoniemych, zrodzonych z małżeństw krewniaczych nie jest większa aniżeli z rodziców, niespokrewnionych wzajemnie. Ziegler uważa też związki krewniacze nie za bezwarunkowo szkodliwe, twierdząc, że za mało danych statystycznych posiadamy jeszcze w tym względzie, Tetz jednak jest stanowczo zdania przeciwnego.

Ale jeśli zwrócimy się do zwierząt i roślin, gdzie łatwiej zbierać dane statystyczne, bez porównania dokładniej czynić można obserwacye i doświadczenia, wówczas przekonamy się, jak bezzasadnem jest zdanie zwolenników konsangwinizmu. Szczególniej uderzającymi są wyniki odnośnych doświadczeń nad zwierzętami domowemi. I tak np. Settegast podaje, że w Niemczech niektóre chowy merynosów, które znajdowały się u szczytu rozwoju, uległy w końcu zwyrodnieniu skutkiem tego, iż hodowcy krzyżowali je wciąż pomiędzy sobą. W Pogrimmen, w Niemczech, hodowano umyślnie (w celu doświadczalnym) potomstwo dwóch koni mazurskich w ciągu lat 30, parząc je wciąż krewniaczo. Okazało się, że w szóstem pokoleniu wystąpiły u potomków albinizm i niepłodność (prof. A. Müller). Darwin, Settegast, Wright, Nathusius i inni podają też liczne przykłady, okazujące, że świnie, przez szereg pokoleń łączone wciąż krewniaczo, podlegają zwyrodnieniu i bezpłodności.

Co do roślin, znane są liczne, nadzwyczajnie złożone i ciekawe przystosowania, mające na celu uniemożliwienie zapłodnienia kwiatu własnym pyłkiem. W wielu wypadkach (Darwin, Hooker) pyłek, padając na znamię tego samego kwiatu, działa do pewnego stopnia trująco, a tylko obcy normalnie zapładnia (u niektórych storczyków). Wszystkie te wypadki są analogiczne z krewniaczymi i niekrewniaczymi związkami u zwierząt, a wobec jedności praw biologicznych u wszystkich jestestw żyjących, przemawiają też przeciwko konsangwinizmowi u ludzi.

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

William Morris, *Wieści znikąd.*

Dziwna rzecz, jak trudno jest oderwać się od przyjętych form życia i wyobrazić sobie stosunki odmienne od obecnych. W abstrakcyi myśliciele czynią to na każdym kroku, ale form konkretnych świat nowy w fantazyi żadnego artysty jeszcze nie przybrał. Próbowali różni yankesi — i z wielkiem powodzeniem — ale wytwory ich są ordynarne, tandetne, przynoszące więcej szkody, niż korzyści sprawie, której służą. W ich idealnem społeczeństwie dla ludzi obecnych miejsca nie ma, gdyż wolą oni zdychać z głodu na swobodzie, niż chodzić w złocie pod przymusem. Przytem nasze dążenia i tęsknoty duchowe do nieznanych krajów tak mało mają wspólnego z tym panamerykanizmem pełnego brzucha! Nareszcie— i to jest największem niebezpieczeństwem tego rodzaju dążeń — nie starają się one o wytworzenie sobie odrębnego stylu artystycznego — jest to najmniejsza ich troska — i w ten sposób muszą mimowolnie zająć miejsce pomiędzy kwakryzmem i armią zbawienia.

Złem jest to, iż prawdziwi poeci miewają zwykle zbyt poziome loty i skrzydła, w danym razie zmuszani są przypinać ludzie z wyobraźnią i uczuciowością sklepi-

---

czegóż dziś wieczorem, a nie innego dnia miał nastąpić? Ryk morza słyszał tak często.

A to co? Zadrżał, aż mu w oczach zaciemniało. Z za góry, od strony kościoła rozlegało się coś, niby wołanie.

Wstrzymał konia i zaczął nasłuchiwać, aż serce biło mu młotem w piersi tak, że tętno sam słyszał. Ach, dzięki Bogu, to ludzie! Turkot wozu! Odetchnął głęboko, zrobiło mu się lżej, raźno...

Ale jacy to byli ludzie, może pijani? Bo śpiewali. Nie można wiedzieć, na jaką sztuczkę wpadnie pijak...

„Beczka na wierzchołku skały,
Coś uciechą raźnych dusz...“

śpiewano, i pełnym truchtem biegł ku niemu wózek. Usunąć się, a potem minąć go prędko...

— Co, u dyabla — kto tam? rozległ się donośny, rubaszny głos. Dalibóg, to przecież Napolon Storbrekke.

Enoch zadrżał, usłyszawszy straszną klątwę; dziś wzywać biesa!

— To ty tak późno poza domem — zapytał nieśmiało.

— Pewnie, że ja — krzyknął Napolon, w ciemnościach dzieje się krzykaczom najlepiej! Z miasta wracasz, Enoch?

— Tak. Na chwilkę, troszeczkę tylko zajrzałem.

— A ja troszeczkę, na chwilkę tylko, zajrzeć tam muszę; od ciebie naprędce się dowiem, co tam zrobić można. Pałaszują, jak zawsze, hę?

Enoch jął opowiadać; Napolon siedział i klął. „Stokroć tysięcy dyabłów“ „jasne pioruny niech ich biją!“ Kiedy Enoch zakończył opowiadanie zwykłą zwrotką: „smutno tam wygląda“ — Napolon zawołał głosem, który aż echem się rozległ, że pójdzie do Ameryki.

Tak, pójdzie. Rzuci zagrodę, rzuci wszystko — i wprost do Ameryki. Bo tu porządny człek, dalibóg, wyżyć nie może!

— To samo powiedziałem wójtowi w Oazie; byłem tam dziś wieczorem; poczęstował mnie kieliszkiem, czy dwoma; mądry ten wójt oazki! — psst! będziesz ty stał! Tak, to mu powiedziałem. A wiesz ty, co mi odparł? Jeżeli tacy ludzie odejdą, powiada, to któż się w kraju zostanie? Musimy się postarać, powiada, żeby wysłać trochę tego żebraczego narodu, powiada; ale jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce wszyscy będziemy żebrakami, nie inaczej! To ja powiadam i klnę się na to, ja, Napolon Salomonsen Storbrekke!

— Słuchaj, widzi mi się, żeś nie powinien tyle kląć, Napolonie!— wtrąca Enoch zcicha.

Ale Napolon nie słyszy.

— Psst! więc stójże! — Tak, tak jest, jak *ja* powiadam, będziesz ty stał, dyable jeden! A wiesz że ty, wiele ja naprzykład podatków teraz płacę? Zgadnij, Enochu! Tak, wciąż gadają o tym nędznym młynie wałkierzowym, którym postawił... tak, jak gdyby można było chwycić się czegoś innego, niż tych oto tłoków! Gdybym ich właśnie nie miał, byłbym już oddawna wygłodniałym żebrakiem; jak mi Bóg miły i zbawienie! Pięć talarów, bratku! — Ha, nie wierzysz? Przysięgnę, na co zechcesz; pięć srebrnych talarów podatku i dwa szelągi do tego! Już cię chyba dziwić nie będzie, że człek staje się żebrakiem. Zeszłego roku pożyczyłem je sobie w banku, tak że dziś płacić jeszcze muszę nadto procenty i raty; a jeżeli na dzień nie zapłacę, adwokat przychodzi, niby wilk jakiś... zjedzą nas żywcem! Tak, zjedzą. Chyba, że tak robić będziemy, jak Per Kudlerig! oszukuje i dobrze mu z tem; tak, tak; i to sposób — psst! Ale widzisz — to nie mój sposób... No, teraz ruszaj bestyo! myślisz, że mogę tę szkapę zmusić do stania? Dobranoc, Enoch!

Odjechał.

— Beczko na wierzchołku — psst! Enoch!

— Ano?

— Na wesele do Hilgego przyjedziesz, co?

— Myślę, że tak.

— No, to się spotkamy. Z Bogiem!

„Beczko na wierzchołku skały.“

Enoch podążył w swoją stronę.

No, no! Ale czyto nie dziwna z tym dyabłem. Zawsze sobie coś znajdzie; zawsze urządzi rzeczy tak, że coś stanie na przeszkodzie...

Teraz Enoch nie mógł się już nawrócić wcześniej, aż po owem weselu.

(D. c. n.)

karzy, albo też nieszczęsni pożeracze książek, kompilujący bezustanku i końca.

Morris *) wszakże należy do szeregu istotnych poetów, którym świat odrębny może wyskoczyć z mózgu, jak Minerwa z głowy Jowisza. Takich ludzi nawet sny są ciekawe. Otóż śniło mu się niedawno, iż pewnego pięknego poranku zbudził się w Londynie zmienionym do niepoznania. Fabryki i kominy poznikały; małe, w stylu średniowiecznym domki rozsiane są po obu brzegach Tamizy w ogrodzie bez końca, a rozkoszne dywany kwiatów posyłają swe wonne fale nad pomarszczoną wodę. Po za domami wznosiły się potężne drzewa i tak gęsto, iż cała rzeka wyglądała jak wielkie jezioro, otoczone świeżemi ścianami lasów.

Poeta siada do łodzi, aby się przejechać po krysztale wód. Przewoźnik okazuje się człowiekiem nader inteligentnym, ukształconym i zarazem artystą rzeźbiarzem, w odzieży z zielonego sukna, nadzwyczaj malowniczej, jaką tylko widzieć można na obrazach z XIV stulecia. Gdy po skończonej wycieczce nasz poeta ofiaruje przewoźnikowi pieniądze, ten uśmiecha się pobłażliwie i poleca oddać monetę do muzeum, które takie blaszki złote, srebrne i nawet miedziane chętnie przechowuje, żadnego innego użytku one wszakże już nie posiadają. „Przewożę chętnie każdego, gdyż jest to moje zajęcie" — dodał i roześmiał się wesoło, jak gdyby sama myśl o przyjęciu zapłaty za pracę wydała mu się nader pocieszną. Co więcej, widząc, iż poeta jest tu człowiekiem zupełnie obcym, ofiaruje swe usługi dla oprowadzenia go po kraju i pokazania nowych porządków. Swoją zaś łódź i pracę oddaje na ten czas pewnemu tkaczowi z Oxfordu, który jest zarazem słynnym matematykiem i oddawna już tęskni do spędzenia kilku dni na wodzie. Ułożyli się przedtem, iż przy pierwszej sposobności matematyk obejmie ster i przewozić będzie wszystkich, którzy zechcą. Pod piórem Morrisa obraz ten nie jest chimerą: taż sama ręka, co pisała „Raj ziemski," bardzo często zajmuje się farbowaniem tkanin lub inną pracą fizyczną. Matematyk pysznie wygląda na łodzi w niebieskiej odzieży także średniowiecznego kroju, z wyszytą na piersi złotą gałęzią, ściągnięty pasem ze srebrnego filigranu.

Dwaj zaś nowi przyjaciele puszczają się wesoło w podróż na wygodnym wózku, zaprzężonym w siwego wałacha. Cały Londyn przedstawia tylko ogrody, parki i laski, po których rozrzucone są w malowniczym nieporządku niewielkie, lecz eleganckie domy różnych stylów, głównie zaś średniowiecznego. Można było pomyśleć, iż wskrzeszony został wiek XIV. Wrażenie to spotęgowane było przez odzież, która nie miała w sobie nic „nowożytnego." Prawie wszyscy byli jasno odziani, zwłaszcza kobiety, rozkoszne i piękne nad wyraz. W jednem tylko miejscu znaleźli szereg większych budynków, pełnych smaku i wspaniałej ornamentacyi. Było to połączenie stylów gotyckiego, saraceńskiego i byzantyńskiego. Najbardziej zwracał uwagę ośmiokąt pokryty kopułą i jaknajdelikatniej upiększony. Było to coś w rodzaju florentyńskiego Baptysteryum, a stanowiło teatr. Tuż obok pałac zebrań, dalej rynek. Ta masa pięknych budowli pośród bogatej roślinności tworzyła nietylko wspaniały widok, ale promieniała zarazem taką masą szlachetnego życia, iż poeta czuł się przepełniony jakiemś żywiołowem weselem i radością bytu śród tych mężczyzn, kobiet i dzieci, zdrowych i szczęśliwych — w znaczeniu greckiem! — pośród przejeżdżających wozów, pełnych świeżej i różnobarwnej zieleni jarzyn. Proszę zauważyć, iż autor umie utrzymać tę scenę w stylu szlachetnym, przypominającym obrazy mistrzów holenderskich. Dlatego też jego ludzie, jakkolwiek zadowoleni i szczęśliwi, wszyscy bez wyjątku, nie są bynajmniej banalni. Biednych i cierpiących nie ma ani śladu. Wszyscy są inteligentni, wytworni.

W dalszej podróży przyjaciele znajdują gęsty las, skąpany w promieniach słońca i w falach wonnych zapachów i przepełniony mnóstwem dzieci, chłopców i dziewcząt najrozmaitszego wieku od kilkoletnich do kilkunastoletnich. Tu i owdzie rozrzucone są namioty, a przed nimi wiszą kotły nad ogniskami, zupełnie jak u cyganów. Dzieci te zbiegają się do lasu z różnych kątów prowincyi dla wspólnego spędzenia lata. W ten sposób uczą się samodzielnie myśleć i postępować, obserwują przyrodę i zwierzęta, a czem mniej oddychają dusznem powietrzem zamkniętych pokojów, tem lepiej. Nie ma śród nich żadnego — chłopca lub dziewczyny — coby nie umiało pływać i hasać na koniu. Spędzają tak lato same, bez żadnego nadzoru, zdala od rodziców i opiekunów, pozostawione w zupełności sobie. Co za wspaniały obraz tych młodych sylfów i faunów, karmionych mlekiem i rosą, igrających koło ognisk lub jeżdżących konno! Kiedy już ludzkość dożyje do urzeczywistnienia tych stanów szlachetnych! Naturalnie nikt o metrykę tych dzieci nie pyta — szukajcie metryki u młodych wilcząt lub jelonków! — ani też czy ich rodzice zapisali swą miłość w odpowiedniej księdze, czy nie!

Mówi się obecnie wiele o pedagogii: o metodzie intuicyjnej, o tem, że dzieci same powinny wszystko spostrzegać; w rezultacie metoda ta sprowadza się do tego, iż dziecko ma rozpoznać, co to jest stół, a co krzesło. „W całej Rosyi nie ma dziecka, coby nie wiedziało, co to jest stół. Może u niemców są takie dzieci" — mówi z tego powodu słusznie hr. Tołstoj. Istotnie, trudno o większy idyotyzm, niż to postępowanie pedagogów. Jeżeli metoda ma mieć istotne znaczenie, to polega ono na bezpośredniem zetknięciu dziecka z przyrodą. W dalszym ciągu Morris posuwa się pod względem wychowania do ostatnich krańców indywidualizmu, odrzucając w zupełności szkołę. Te „stajnie chłopców" w jego ideale znikły. Oto dosadna jego krytyka teraźniejszości pod tym względem: „Dzieci zamykane są z bezwzględną brutalnością, pomimo różnicy uzdolnień i skłonności w szkołach i tam poddawane naprzód ustawicznej dyscyplinie. Takie postępowanie spuszcza z uwagi warunki rozwoju fizycznego i duchowego. Nikt bez szkody nie mógł wyjść z takiego dreptaka i zmiażdżeniu oprzeć się mogły tylko te dzieci, w których duch oporu był dość silny. Na szczęście duch ten umiał być potężny w dzieciach wszystkich czasów, inaczej nie sposób pojąć, jakbyśmy mogli zająć obecne nam stanowisko." Żadnego systemu wychowania w ideale Morrisa niema. Dzieci, jak wiadomo, chętnie naśladują: widząc dorosłych przy pracy w ogrodzie, polu lub przy warsztacie, same także chętnie się uczą bez żadnego przymusu. Już to wpływa potężnie na ich rozwój umysłowy. Z drugiej strony, widząc koło siebie mnóstwo książek, już od lat najmłodszych umieją czytać. Lubią zaś tak namiętnie bazgrać, iż pisanie takie przychodzi samo przez się, przy najmniejszych wskazówkach. Języków obcych uczą się ze stosunków z ludźmi, z podróży. Następnie, umiejąc czytać i pisać, znajdują wnet kogoś, co im wskazuje najlepsze książki w tym lub owym przedmiocie, który ich zajęcie wzbudza, lub objaśnia to, co w książkach pozostało niejasnem. Jedne mają zamiłowanie do historyi, inne do przyrody lub matematyki — wogóle każdy studyuje to, co mu się podoba. Zresztą namiętność książkowa nie jest nazbyt rozwinięta, ale nikt nie zabrania oddawać się jej do woli. Wówczas dopiero istotne zdolności oddawać się będą karyerze naukowej i te posuną wiedzę naprzód. Uczone miasta, w rodzaju Oxfordu poznikały. Autor uważa je za zwykłe przybytki uczonego geszeftu i oszustwa. Są to gniazda nieudolności i pasożytów, którzy swe zamiłowanie do drukowanej bibuły, kompilowanej na wszelkie sposoby chcą wydać za naukę. Bogate mieszczaństwo (gdyż z klasą robotniczą nie mają oni nic wspólnego) traktuje tych handlarzy z pogardliwą tolerancyą, zupełnie jak średniowieczny baron traktował swych błaznów dworowych, chociaż współcześni uczeni nie są bynajmniej tak pocieszni, jak ci ostatni. Są to rzeczywiście ludzie najnudniejsi, jakich tylko wyobrazić sobie można—plaga społeczeństwa. Wyśmiewani, wyszydzani i—opłacani. To ostatnie jest zresztą jedynym celem ich dążeń. Dopiero w świecie Morrisa natura staje się istotnie wiedzą, znajdującą sama w sobie swój cel, staje się sztuką wiedzy, nie zaś szacherką i fuszerką, jak obecnie. Proszę zauważyć, iż sam autor, wygłaszający te ostrą krytykę, zdobył stopnie naukowe w Oxfordzie.

Słabe strony tych poglądów są oczywiste: pewien system przelewania wiedzy w młode pokolenie będzie prawdopodobnie zawsze konieczny, są rzeczy, których dziecko samo z książki nie zdobędzie, jak matematyka, ale t. zw. wychowanie przybierze z pewnością tylko ten bierny charakter.

Wychowanie w przyszłości musi być publiczne, a straż nad swobodą dzieci musi być powierzona ludziom odpowiednio rozwiniętym i uzdolnionym. Poglądy Morrisa na wychowanie, one są charakterystyczne dla wszystkich jego poglądów społecznych. Bezgraniczny indywidualizm — oto ogólna ich formuła. Morris jest gorącym przeciwnikiem falansterów — chce osobniczego spożycia i pożycia. Stosunki miłosne oparte tylko na uczuciu, rozpoczynają się, kończą, lub znów nawiązują wraz z jego przebiegiem. Z parlamentu zrobiono spichlerz. Niczem nie krępowana jednostka wyzwolona jest nie tylko z pod więzów materyalnych, ale i z pod opinii publicznej, „która zwykle jest bezmyślną i brutalną tyranią". Istotnie, ta szanowna opinia publiczna jest to nieświadoma, w gruncie rzeczy siła hypnotyzmu masowego, coś w rodzaju burzy lub dżumy. Opinia publiczna —toż to paplanina kumoszek u studni. Gdy 10 osób, z których każdy z osobna jest zdrów na umyśle i rozumny, coś łączą by wytworzyć wspólne zdania, stają się naraz idyotami. Rozwija się w nich odrazu „duch barani", siła ślepa, którą pierwszy lepszy łotr może z łatwością zawładnąć i doprowadzić inteligentną opinię publiczną do największych bezeceństw i zbrodni.

L. W.

*) Według ostatnich doniesień, ma on po Tennysonie zostać „poetą urzędowym" (laureatus). *Red.*

LITERATURA FRANCUSKA.

Edward Rod. *La Sacrifice* (Złożona w ofierze). Paryż, 1893.

Kwestya zbrodni od lat kilku zaprzątuje żywo umysły Europy. Uczeni rozbijają się na obozy, teorye krzyżują się, argumenty szkoły antropologicznej i przeciwników wnikają w masy publiczności i poczynają na nie oddziaływać. Objawiający się w ostatnich latach mimo rozwoju cywilizacyi wzrost przestępstw niepokoi społeczeństwo. Więc stają wszyscy z pochylonemi głowami i radzą.

Za ich wzorem piśmiennictwo zagłębiło się w dane pytanie. Przedtem zbrodnia królowała tylko w utworach Gaboriau, Montépina, Boisgobeya, dziś zajęły się nią umysły wybitniejsze. Literatura, zgubiwszy szlachetność typów, zapukała do nor

złodziejskich. Przedstawicieli jej nie zraża upadek moralny. Jedni, jak Zola, ordynarnie, dają proste historye sensacyjne: przykładem „Pieniądz“, „Człowiek-zwierzę“, inni wybierają wypadki subtelniejsze: stosunek filozofii do zbrodni u Bourgeta. Część tylko, podjąwszy wątki przykre, umie je odpowiednio wyświetlić i na odpowiednie, społeczne rzucić tło.

We Francyi, gdzie szkoła powieściopisarzy rekrutuje się przeważnie z mieszczaństwa, gdzie niewielu tylko młodszych poczyna roztrząsać zagadnienia społeczne, sposób traktowania przedmiotu bywa czysto burżuazyjny. Zbrodniarz jest zbrodniarzem z dobrej chęci, co najwyżej z urodzenia, pobudki jego czynu mają w sobie coś mistycznego, tajemniczego. Pod krzyż trzeba uciekać od ich pokus. Lekarstwo na nie, nie leży w zmianie warunków społecznych, lecz w umoralnianiu się.

Powieść Edwarda Roda zaznacza z jednej strony sympatyczny postęp w opinii o zbrodniarzu, z drugiej wprowadzeniem tezy moralnej łączy się z pojęciami dawnemi. Lecz ważnem jest, że podnosi pytanie bardzo subtelne. Czy może lekarz skrócić nieuleczalnemu choremu, którego byt jest już tylko męką, życie o kilka dni. Czy będzie zabójcą, skoro nieżyjącemu już prawie paralitykowi wstrzyknie większą dawkę morfiny pod skórę i przywoła doń śmierć cichą, łagodną, ale w każdym razie śmierć.

Tak — odpowiada autor — będzie zabójcą. Życie nie do nas należy i nie wolno go nam skrócać, nawet o pół sekundy *). Nic nie zdoła usprawiedliwić podobnego czynu, on zostanie zbrodnią.

Rozwiązanie, co prawda, wątpliwe. Są wypadki i wypadki, lecz gdybyśmy wniosek Roda zechcieli przeprowadzić we wszystkich konsekwencyach, musielibyśmy usunąć w medycynie wszelkie znieczulania i usypiania. Okazałyby się nie moralnemi, bo usuwając niekiedy samowiedzę, gaszą chociaż chwilowo pochodnię życia.

Opracowanie jednak tematu, zalety artystyczne „Złożonej w ofierze“ są zbyt duże, aby nie zapewniły temu utworowi wartości. Jędrność stylu przypomina Balzaca, forma sama (pamiętnikowa) dobrana do analizy psychologicznej dobrze. Nie masz tu wreszcie tej wodnistości, którą spotykamy u Bourgeta, nie ma uwag samego autora, myśli i zdania przyjmujemy z ust osób działających, a nie z ukrytych zakątków, w których zasiada pisarz.

Mieszkańcy dzielnicy paryskiej Val-de-Grâce pamiętają jeszcze wszyscy doktora Piotra Morgexa, zmarłego w czterdziestym szóstym roku życia, w styczniu 1890 na influenzę. Był to człowiek rosły i silny, na pozór szorstki, lecz duszy szlachetnej. Kogo raz leczył, ten zostawał jego przyjacielem. Wezwany do chorego nie pytał, czy bogaty czy biedny, lecz śpieszył w każdej porze, ubogim kupował leki, nosił mięso i wino. Umarł na nogach prawie, a choć dzień pogrzebu był słotny, tłumy szły za jego trumną.

Była to natura tak zamknięta, tak oddana swemu zawodowi, że nikt nie mógł wyobrazić go sobie innym, jak wchodzącym z piętra na piętra, niosącym radę. Urodził się do tego — myślano. A jednak w życiu jego ukrywała się tajemnica i nie zawsze miał on twarz posępną, a myśl do medycyny tylko zwróconą.

Pochodził z ubogiej rodziny, po śmierci ojca, zmuszony wychować sześciu braci, pracował ciężko i nocami tylko mógł uczyć się. Przebiwszy się przez studya, rozpoczął karyerę lekarską świetnie.

Żył w przyjaźni z dawnym kolegą gimnazyalnym Marcelim Audoninem. W przekonaniach i pojęciach rozchodzili się nieco, ale że Audonin wydawał się niezłym człowiekiem, więc jakoś żyli. Po skończeniu prawa wybrał adwokaturę i szczęśliwie zaczął stawiać pierwsze kroki na nowej drodze. Pewnego dnia, gdy obaj zasiedli do śniadania Marceli oświadczył: Wiesz, żenię się.

Narzeczona nazywała się Klotylda Lanson. Była to dziewczyna zamożna, wnuczka wysokiego urzędnika sądowego. Miłości jej nie zdobył, lecz nie troszczył się o nią. Ponieważ wybuchła podówczas cholera w Egipcie, Morgex wyjechał do Aleksandryi na studya. Wróciwszy zastał przyjaciela żonatego. Nie rozdzieliło to ich, widywali się co tydzień. Lecz Morgex przypatrując się stosunkowi jego do żony, czuł się zgorszonym. Znał go zawsze jako karyerowicza egoistę, ale myślał, że przy żonie zmieni się. Ta bowiem była istotą szlachetną, szukającą w ludziach pełni uczucia i wzniosłości. Niestety, zawiódł się, Marceli pozostał sobą, a gdy żona przeniknęła go i różnice między obojgiem zarysowały się, wystąpiły jeszcze jego rysy ukryte: brutalność i tyrania. Wreszcie adwokat zawiązał romans z jakąś aktorką, nici łączące go z Klotyldą pękły do reszty. Kilkakrotnie usiłował go przyjaciel skierować na lepsze tory, lecz bez skutku. Zaskarbił sobie tylko przyjaźń żony.

Już dziadek adwokata zmarł był na apopleksyę, wnukowi groziło to samo. Żartował on często na ten temat, aż wreszcie groźna rzeczywistość nakazała mu milczenie.

W sądzie paryskim toczyła się wkrótce po jego ślubie głośna sprawa robotnika Porlezzy, który zabił bez powodu troje dzieci sąsiada, popychany do tego oczywiście jakimś dzikim, niewytłomaczonym instynktem. Morgex przekonany jest najbardziej o jego niepoczytalności, starał się jej dowieść, ale przeciwnicy byli zbyt liczni. Jak na nieszczęście i obrońca prawny zabójcy zachorował. Szukając kogoś, coby zdanie jego poparł, zwrócił się do Audonina. Ten przyjął, lecz tak mało był przejęty ideami przyjaciela, że mowa jego pełna komunałów zgubiła tylko Porlezzę. Świetnie jednak wypowiedziana wywołała burzę oklasków, a powodzenie to tak przejęło adwokata, że ledwie wyszedł za próg, dostał apopleksyi.

Uleczono go, ale nieustannie myślał o śmierci. Przyszedł raz do Morgexa z prośbą.

— Jestem pewny drugiego ataku, szarpie mię obawa śmierci. Mówiliśmy nieraz o życiu, zgadzaliśmy się, że w mękach traci ono wartość. Daj mi słowo przyjacielskie, że zabijesz mię, gdy będę nieuleczalnym.

W innych warunkach Morgex byłby się nie wahał. Ale w jego serce wkradła się miłość do Klotyldy i zabicie Audonina nawet w razie nieuleczalności wydawało mu się zemstą na rywalu. Jednak zgodził się.

Wkrótce nowy atak zniszczył prawie zupełnie Audonina. Uratowano mu życie, ale było z niego już tylko martwe ciało. Nie poruszał się, nie mówił, słaby ledwie promyk życia błyszczał w jego oczach. Wtedy Morgex przypomniał sobie postanowienie. Walczył z sobą długo, powstrzymywała go obawa, że przedsiębierze czyn swój ze względu na Klotyldę. Pokonał się nawet: zaprzestał wstrzykiwań morfiny, podjętych zresztą na żądanie rodziny, lecz kiedy bóle objawiły się groźnie, a żona, jej przyjaciele, wreszcie oczy chorego jęły błagać go o ulgę, on przez trzy dni czekał, wreszcie zrobił nowe wstrzyknięcie. Ale dawkę zwiększył i chory już nie obudził się.

Wina jest sprowadzona do minimum. Chory był nieuleczalny, życie jego — pasmo tortur — mogło trwać może kilka dni, rodzinę, zwłaszcza żonę, zamęczało do najwyższego stopnia pielęgnowanie. Dawka właściwie złagodziła tylko śmierć, a nie sprowadziła jej, bo zbliżała się wciąż, tylko że opisywała kręgi, niby jastrząb, nim rzuci się na pisklę. Wreszcie koniecznem wydawało się lekarzowi uwolnienie Klotyldy z jarzma tego związku, bez względu na to, czy ona by jego miała poślubić, czy nie.

Z chwilą śmierci kwestya wikła się trochę. Autor, zamiłowany w wyjątkowych stanach psychologicznych, dołącza do wyrzutów tłoczących Morgexa z powodu samego „otrucia“ ustawiczne podejrzewania samego siebie, że popchnęła go do tego miłość. Przez jakiś czas nawet te ostatnie opanowują całą akcyę, lecz w końcu sprawa wyjaśnia się: zagadnienie i jego dodatek zostają rozstrzygnięte z osobna.

Morgex, uważając się za zbrodniarza, nakłada sobie pokutę: usuwa się od Klotyldy, choć ta go kocha. Wyjeżdża do Włoch, ale we Florencyi decyduje się na małżeństwo. Następują dni szczęścia, wtem przyjaciółka Klotyldy, pani Viry, której niegdyś wyznał, że wstrzymuje go od poślubienia wdowy Audonin pewna tajemnica, żartem przy żonie potrąca o to wyznanie. Klotylda żąda bliższych objaśnień, on odmawia, przepaść otwiera się między nimi. Ona wreszcie chce o tem zapomnieć, lecz on grzebie się dalej; przedstawia prywatnie sędziemu Viry swą sprawę, ten uważa go za niewinnego; niezadowolony z tego udaje się do opata Borranta, a ten uznaje w nim wielkiego winowajcę. Odczytuje mu traktat o prawach do życia i każe rozłączyć się z żoną. Morgex czyni to.

Na uwydatnienie zasługuje powieść Roda ze względu na rzadki istotnie w spółczesnej literaturze typ szlachetnego człowieka — Morgexa. Jego poglądy postępowe, uczciwość, głębokość myśli budzą najżywsze sympatye. Artystycznie przedstawiony on jest z pełnym talentem, psychologia przeprowadzona wytrawnie i silnie. Autor daje dokładny opis bohatera, wiąże go z rodziną, przedstawia grunt, na którym wyrósł, potem dopiero roztacza wątek powieści.

W. Bugiel.

NOWE OBRAZY.

IV.

Jeszcze konkurs. — Płótna zagraniczne.

Nie trzymamy się w swej wędrówce po Salonie Towarzystwa zachęty porządku wartości, nie uważamy bowiem wprost za możebne wyznaczać każdemu dziełu stopień sprawiedliwy tam, gdzie o nim stanowić powinny względy liczne i przeróżne. Nieraz obijały się o uszy słowa pełne zachwytu, dajmy na to, dla „Najmu robotnika“ Alchimowicza i wielu pragnęłoby widzieć go uwieńczonym. Nie z tego punktu widzenia biorąc rzeczy, mamy prawo wyznać otwarcie, że utwór ten robi wrażenie słabe, mimo że ma zalety silne. Ci chłopi, otaczający kołem karbowego, najniewątpliwiej, namyślają się, czy przyjąć jego warunki, obliczają i słuchają uważnie; ale z tem wszystkiem jest w nich coś tak „kmiotkowatego,“ drobnego i nikłego, że mógłbyś ich jednem zdmuchnięciem zwiać z obrazka. Duża prawda w wyrazach, typie i ugrupowanie nie jest w stanie wzmocnić słabego w całem tem gronie tętna. Są oni bowiem mimo widoczne zajęcie, nad miarę spokojni i ospali, a tak do siebie podobni, że rozmaitość min staje się jednostajnością. Nadto objawiają za wiele skłonności do zlania się

*) Jest to odpowiedź tak bzdurna, jak cała powieściowa filozofia francuska. Wcale nie o to chodzi, „że życie cudze nie do nas należy,“ gdyż ta zasada nie powstrzymuje nawet prawa w „skracaniu go“, ale i to, że medycyna nie jest matematyką i nigdy nie może twierdzić z taką pewnością, że chory umrze, z jaką astronomia przepowiada, że słońce się zaćmi. *Red.*

z ziemią, z lasem sosnowym, który ciągnie się za nimi, nie mają własnej barwy i gatunkowego ciężaru. W każdym razie obraz to mimo bladość wyróżnia się powagą roboty i studyów.

Wystawione przez p. Borkowskiego płótno — to prawdziwy ideał obrazu — nietłómaczącego się. Zdejmijcie napis, a pozostanie zagadka, którą główna postać bardzo niedostatecznie rozwiązuje. Na tle krajobrazu zimowego widać zatrzymane sanie, nad któremi chłop troskliwie się pochyla — i to jest widoczne i zrozumiałe, ale co do reszty, można ją sobie tłómaczyć, jak kto chce: że albo wiezie kosztowny przedmiot, albo trupa, albo człeka żywego. Chory źrebak mógłby tu leżeć tak samo, jak chora połowica, bratowa lub świekra i widz by na to nie poradził. Małżeńskość troski trudno było wymalować na twarzy.

Panowie Stasiak i Wroński przysłali znacznych rozmiarów krajobrazy, z których żadnego osobliwie udatnym nie nazwałbym. Suche wierzby pierwszego, mające uzmysławiać ogołocenie jesieni — są poprostu... suchemi wierzbami i niczem więcej. Parę tysięcy prętów długich i brzydkich, dziwna jakaś wiklina, z której lada chwila ktoś zrobi koszyki, wyrastają z równie monotonnych i szarych pni. Takie widoki w naturze swojskiej spotkać można, ale są one nad wyraz przykre i martwe, nie ową martwotą bezlistną co to napędza smutne myśli, lecz jałowością zasadniczą, z której nikt żadnego nastroju nie wydobędzie. Przynajmniej p. Stasiak sztuki tej nie dokazał. Jakkolwiekbądź, należy mu się powinszowanie — od obrazów na figury twardych jak cerata i malowanych jak lakier przerzucił się do pejzażów i tych parę całkiem dobrych i z motywami oryginalnymi widzieć można u Krywulta. Zwłaszcza na uwagę zasługuje pole wysokich rumianków i trafnie pochwycona gęstwina wysokich trzcin na stawie — zakątek wody ocienionej i schowanej. Jest to zupełnie ładne.

Ale wróćmy do Zachęty. Wielki skrawek zwierzyńca, z przerzynającą go wodą i sarnami na polance, odrazu przekonywa, że p. Wroński naturę kocha, podpatruje w szczegółach i drobiazgach i odtwarza nabożnie. I byłby to obraz mimo słodycz pewną za miękką, nie powszedni dla wybornych drzew, wody, gdyby jego ton tęskny nie był tonem świeżo ugotowanego szpinaku. Jest to jedyna wada i prawdopodobnie całość zyskałaby ogromnie, gdyby ją zawiesić w oświetleniu, tłumiącem nieco tę przesadną jaskrawość zieleni. Natomiast chmury na niebie, zapowiadające deszcz i rozdzielone skrawkiem błękitu, są jak i on bardzo dobre.

Wspomnę jeszcze o zimowym krajobrazie Stankiewiczówny oraz Placu Zygmunta w zimie pędzla Lindemana. Są to utwory obojętne: pracowite, wierne, ale niczem nie zatrzymują uwagi. Portret Oknińskiego, przedstawiający damę z chartem świadczy, że artysta dobrze oddaje materye, cień itp. rzeczy, ale jest słabym kolorystą, a w wypadku obecnym tak słabym, że barwa twarzy damy mało się różni od barwy psa i wogóle zachodzi między niemi podobieństwo, które z pewnością nie leżało ani w naturze, ani w zamiarach autora.

Stosunkowo dużo zebrało się rysunków kredkowych a między nimi jest parę poważniejszych. Taka np. „Rybaczka“ posiada doskonałe i nader wdzięczne oświetlenie krajobrazu i dużo oryginalności w samym pomyśle. W „Kopaniu kartofli“ wre rzeczywisty ruch, pełen urozmaicenia i tłumności. „Cietrzewie na grze“, mające w sobie coś z Chełmońszczyzny, wybornie oddają porębę lasu. Pejzaże „z puszczy“ i „z lasu,“ „Myśliwi“ posiadają zacięcie i dobry smak. Główka dziecka, zasłuchanego p. t. „Straszne historye,“ ma silny wyraz i dużo naiwności. Słowem, powiedziałbym, że w tym dziale twórcom konkursu powiodło się lepiej, niż w poprzednim. Niemasz w nim bowiem utworów całkiem niedołężnych, gdy między obrazami są roboty anielsko pierwotne a zwłaszcza jedna, pochodzenia zdaje się krakowskiego p. t. „Wiosna,“ której wstępu na wystawę wprost odmówić należało.

A teraz rzućmy okiem na ściany codzienne Salonu. Jedna z nich szczególnie się wyróżnia, zajmuje ją bowiem cały duży obraz zagraniczny wartości niezupełnie powszedniej. Autorem — Borchardt, zapewne niemiec, jak to widać ze sposobu malowania, ciężkiej kompozycyi i wielkiej uczoności. Treścią zaś jest „Dysputa“, prowadzona przez mnichów neapolitańskich. Rzecz to zwyczajnie rodzajowa, najwidoczniej niesiląca się na grozę i skupienie dramatu i przeto niesłusznie zarzucają jej brak większego natężenia i zestroju. Jest to sobie pogadanka domowa przy współudziale kolegów z różnych zakonów, nieskrępowana obecnością tłumu i ot, rozrywka, pomagająca strawić smaczny obiadek postny. Dla tego też duchowy udział w świętobliwej biesiadzie jest różny. Jedni słuchają z uwagą ogromną, która graniczy z osłupieniem, innym oczy kleją się do snu, inni znów silnie pracują umysłem, owi wymykają się z refektarza itp. Nie wszystkie twarze mają swój wyraz własny, niektóre są całkiem zbyteczne, ale nie brak prawdziwie znakomitych głów. Tak np. najbliższy mówcy zakonnik uderza pyszną głową rzymianina i wielkim rozumem spojrzenia. Inny, z profilem ryjowatym, trochę zawadzający o karykaturę, ma dużo charakteru głupoty. Wogóle jest tu owa rozmaitość typów, głębiej pojętych, w których nie dostrzegamy bynajmniej chęci ośmieszenia duchowieństwa, przypisywanej u nas Borchardtowi. Szło mu oczywiście o pełnię i złożoność psychologii księżej i pierwszą osiągnął, a drugą przecholował, przy usunięciu bowiem niektórych figur z widowni, obraz mógłby być bardziej ześrodkowanym i treściwym. Za mało tu pierwiastku malarskiego a za wiele — literackiego. Całości nie jednoczy i nie owiewa wyższe poczucie artystyczne; pędzel sili się na energię i dosadność a robi przez to twarze wymęczone, niemal wygniecione z twardego jakiegoś materyału.

A kiedy już mowa o dziełach obcych, wspomnijmy o „Wyścigach w cyrku rzymskim“ hiszpana Ulpiano Checa. Salon Krywulta zrehabilitował nim potroszę złą sławę swego importu zagranicznego, który bywał zwykle także pewnego rodzaju turniejem: na malowidła dla niewybrednej a żądnej sensacyi gawiedzi. Co prawda i obraz, o którym mowa, niczem osobliwem się nie zaleca i pozwalamy sobie wprost nie wierzyć, ażeby dostał on aż złoty medal na wystawie w Paryżu. Ale nie jest przeuczony, posiada niezaprzeczony temperament, wierne i doskonałe momenty oświetlenia. Zwłaszcza czwórka koni karych odznacza się siłą i ruchem. Rydwany, wjeżdżające na siebie na zakręcie, pod hipodamią, są i ładne i efektowne. Złota łuna zachodu i dymów z kadzielnic unosi się dobrze i powietrznie nad areną, perspektywa rozległa i swobodna, ale i zagadek nie brak: dla czego prawa strona cyrku nie odczuwa wcale pory przedwieczornej; dla czego wszystkie bez wyjątku twarze ludzkie, zarówno woźniców, jak senatorów i bodaj samego cesarza, są zdjęte z jednej niemożliwej maski — całkiem współczesnego clowna?

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 21 maja.

Prace sejmu. — Mowa ks. Czartoryskiego.

Załatwić w 26 dniach, na siedmnastu posiedzeniach — z których pierwsza połowa z natury rzeczy może mieć tylko cechę przygotowawczą — przeszło sto spraw publicznych, to karkołomna sztuka, której sejm nasz z konieczności już po raz wtóry dokazuje.

W jesieni bowiem w kilku dniach dokonał konwersyi długu indemnizacyjnego i rzucił podstawy do całego szeregu przyszłych budżetów, mających obfitować w wydatki nakładowe ku celom produkcyjnym. Teraz zaś miał sejm ważną sprawę kolei lokalnych i rozszerzenia działalności banku krajowego. Z inicyatywy poselskiej dr. Rutowskiego i prof. Pilata przyłączyła się do tego sprawa reformy gminnej, z dwóch obozów, konserwatywnego i liberalnego, równocześnie podjęta i kwestye szruby podatkowej, operującej w naszym kraju ze zdwojoną sprężystością, mimo niebezpieczeństwa cholery i grasowania mnóstwa innych klęsk żywiołowych i ekonomicznych.

Organizacyę budowy kolei drugorzędnych załatwiono szybko i gładko — szkoda tylko, iż równocześnie nie zajęto się melioracyami gruntowemi, aby te koleje miały co wozić oprócz drzewa, którego za kilka lat już nie stanie, jeżeli zalesienie Podola nie rozszerzy się na całą Galicyę.

Reforma gminna dała powód do akademickiej rozprawy pomiędzy stańczykami z jednej strony a idealnymi zwolennikami pobratania obszaru dworskiego z gromadą z drugiej. Krążono jak kot koło wazy z gorącą zupą i zwalono w końcu cały kłopot na barki Wydziału krajowego, który na podstawie uchwalonych „punktacyj“ w gminie zbiorowej ma ułożyć paragrafy przyszłej ustawy. Właściwszy tedy zatarg wyobrażeń wybuchnie jawnie dopiero, gdy Wydział krajowy przedstawi swój projekt.

Kwestya egzekucyj podatkowych posłużyła do wytoczenia formalnego procesu fiskalizmowi, gniotącemu Przedlitawię. Proces ten przejdzie do Wiednia i powinien wpłynąć stanowczo na ochłodzenie tej fantazyi, z jaką coraz to nowe wymyślają opłaty na nasz biedny kraj. Jasny ten punkt w tegorocznej pracy sejmowej został przyćmiony zawstydzającą sceną przy głosowaniu nad pomnożeniem liczby posłów ze Lwowa i Krakowa.

Partya małoruska wyrządziła tu przysługę konserwatystom, przeciwnikom tak drobnej reformy, a wzięła na siebie całą nienawiść opozycyi, ułatwiając stańczykom odegranie obłudnej roli należenia do „kompletu Izby.“ Świętoszki te nie potrzebowali opuszczać sali dla zerwania wymaganego „kompletu“, bo wiedzieli, że wpływowy główny agent ich za pośrednictwem jednego ze swoich sługusów wyciągnie pp. Romanczuków i Antoniewiczów na kiełbaski do bufetu i „komplet“ będzie zerwany, a sprawa upadnie. Tak się też stało. Wyznać trzeba ze wstydem, iż takiej roli nie spodziewano się po tych panach, którzy przecież sami mieli nieraz sposobność walczenia z tak zwanymi „chruniami.“ Mizerny to zawód, a puszczający się nań, przychodzą zwykle do przekonania trochę za późno, że zaszkodzili samym sobie lub sprawie, której bronią.

Szkoda, że krótkość czasu nie pozwoliła zająć się losem wychodźctwa ludu, poruszonym tak przez posła Huryka, jak i „petycyami“ kilkunastu wydziałów powiatowych. „Rezolucye“ dotyczące regularnego zwoływania sejmu i dawania mu dostatecznego czasu były ważnym objawem, bo nie są głosem odosobnionym, ale łączą się z analogicznemi uchwałami niemal wszystkich innych sejmów. Mogą one mieć skutek tem pomyślniejszy, im sumienniej reprezentacye kraju czuwać będą nad swoją godnością i znaczeniem politycznem, które sejm galicyjski zatracił.

Na razie sfery sejmowe doznały pod tym względem rozczarowania, albowiem spodziewano się tylko odroczenia sesyi, aby w jesieni na nowo nie urządzać pierwszych czytań i wybierać komisyj. Tymczasem wczoraj zamknięto sejm.

Zakończyła się tedy sesya wiosenna, która acz krótko trwała i niezbyt była ożywiona, nie przeszła bez rezultatu. Poruszono wiele spraw żywotnych, kilka drobniejszych załatwiono, wreszcie zrobiono pierwszy krok na polu reformy ustawy gminnej. Żywsze zajęcie obudziły wnioski Merunowicza w przedmiocie przymusowej asekuracyi, Rawskiego o zniesieniu u nas gimnazyów niemieckich, Rutowskiego — o rozszerzeniu sieci komunikacyi wodnych w Galicyi, Potoczka — o stworzeniu banków rentowych włościańskich, a wreszcie i Okuniewskiego — o założeniu gimnazyum żeńskiego, co poparły kobiety petycyą wniesioną do Sejmu, z 4,500 podpisami.

Ciemną kartą sesyi jest „ubicie“ kilku wniosków niewygodnych szlachcie... List zaś posłów z prawicy należy do najgłupszych aktów polityki stańczykowskiej.

Nasi ojcowie nie spracowali się bardzo tym razem, jak zwykle było tylko trzydziestu kilku, którzy brali jaki taki udział w pracach sejmu, reszta, tj. przeważna większość próżnowała.

Z mów tegorocznych podnieść należy mowę ks. Jerzego Czartoryskiego o znaczeniu naszego sejmu. W formie, jak zwykle wykwintnej, lecz co do treści nader dosadnej wytknął on sejmowi bierność jego polityczną i z niej wynikające obniżenie jego powagi. Zarzut to równie ciężki, jak słuszny. Brak samodzielności sejmu objawia się przedewszystkiem w tem, że po za nim i bez niego zawierają *pacta conventa*, którym następnie jakby wypadkom żywiołowym poddaje się on z konieczności, że każda myśl i słowo samodzielne tłomaczą jako antagonizm osobisty, a najmniejszy opór przeciw poleceniom rządu albo jego krytykę stawiają na równi z opozycyą za wszelką cenę.

Prościcki.

Z POZNAŃSKIEGO.

1 czerwca.

Wybory i opozycya. — Poskromienie buntowników. — Sprawozdania instytucyj finansowych. — Zasługi ich. — Tragiczny wypadek. — Zmiana nazwisk.

Rzuciła nas znowu w wir walk i zatargów wyborczych przegrana partya rządu niemieckiego w parlamencie. Łudzono się u nas powszechnie tem, że pogróżki rozwiązania są tylko fortelem i że użyto ich dla wywarcia silnego nacisku na głosujących; tymczasem była to rzeczywista i istotna prawda, ostateczny środek, jakiego rząd chwycić się musiał. Odwołał on się w ten sposób do całego narodu, który ma mu dać innych posłów, uleglejszych. O ile znam społeczeństwo niemieckie i prądy, jakie nań oddziaływają, o ile pamiętam ostatnie wybory i hasła, pod któremi walczyło, tudzież rezultat aktyczny, sądzę, że położenie rządu po tych wyborach będzie o wiele nieznośniejsze, niż przed trzema laty. Gdyby Bismark nie był ustąpił podówczas dobrowolnie, byłby sto razy poniósł klęskę w ostatnim parlamencie; gdyby wystąpił teraz znowu na widownię polityczną, poniósłby ich tysiąc. Karność, jaka tu panowała dawniej, już się rozbiła i w czasie pokoju nigdy nie wróci. Jest to chwila, w której największe zdobycze odnosić mogą ci, co mają głowę tam, gdzie dla niej najodpowiedniejsze miejsce, t. z. że nasza prowincya żadnych zdobyczy mieć nie będzie.

Zaprzęgłszy się dobrowolnie w rydwan Capriviego i głosując na ślepo za wnioskami wojskowymi, posłowie nasi stanęli przeciw interesowi własnego społeczeństwa i w ten sposób równocześnie ponieśli dwie porażki. Pobito ich w parlamencie, a naród do nich poczuł gorycz. Jeszcze on sobie należycie z tego sprawy nie zdaje, jeszcze siła ślepego zaufania, wyrobiona dawniej, panuje, ale już, powtarzam, gorycz istnieje i zaczyna się ujawniać. Ciężary podatkowe są tu tak straszne i przez każdego odczute, że nowe muszą napotkać stanowczy opór, a to tem większy, jeżeli— jak przy projektowanej ustawie wojskowej — mają być zupełnie bezcelowe.

W całej prowincyi naszej odbywają się ciągle zebrania przedwyborcze. Dawniej, kto dbał o dobre imię, szedł na ślepo w jednym kierunku i nie wahał się ani chwili, żeby głosować, jak mu każą. Dziś, chociaż jeszcze nieśmiało, już odzywa się opozycya i głosy, że jednak nie wszystko dzieje się dobrze. Po za opozycyą tą stoją socyaliści i antisemici, którzy także chcą swoje przeprowadzić kandydatury. Najcharakterystyczniejsze było zebranie wyborców z miasta Poznania. Niechęć objawiła się tutaj tak silnie i dobitnie, iż (rzecz niebywała) policya musiała wkroczyć i zebranie rozwiązać. Opozycya ta — chociaż przyznać należy w wielu kierunkach słuszna — jest nie na czasie i w obecnej, krytycznej chwili, najzgubniejsza. Wybory posłów naszych mogą się udać tylko przy największej solidarności. W Poznaniu spostrzeżono się natychmiast i nurtowanie w jednej chwili stłumiono, co jednak będzie na prowincyi, gdzie węzły są luźniejsze, nie wiem. Dla ilustracyi zaś, z jakiemi to trudnościami na każdym kroku walczyć trzeba, dodam, że listy wyborcze, o ile chodzi o pewne sfery społeczeństwa naszego, zawsze okazują się niedokładne. Dość powiedzieć, że z jednego tylko domu w Poznaniu opuszczono aż trzech uprawnionych do głosowania obywateli, płacących nadto bardzo znaczny podatek.

Jak co roku, nasze instytucye finansowe wystąpiły ze sprawozdaniami z czynności za rok ubiegły. Z uznaniem podnieść należy działalność Banku włościańskiego w Poznaniu, który dał swym członkom dywidendy 10% od każdej akcyi i „Spółki ziemskiej“ w Poznaniu, przy pomocy której odbywa się raźno praca parcelacyjna w majątkach prowincyi. Dzielone były majątki: Łosiniec, Kaliszany, Naramowice i Markowice. Przeważna część osadników naszych lubi nabywać parcele bez budynków i wznosi je dopiero własnemi siłami. Dla ułatwienia tego zadania pomaga im Spółka ziemska w zakładaniu osady, o ile to bez uszczerbku dla własnego gospodarstwa jest możliwem. Pomoc owa polega na tem, że po niższych, niż wszędzie, cenach dostarcza drzewa i cegieł, udziela kredytu na dostarczone zasiewy itd. i uprawia własnym inwentarzem rolę osadników.

Rezultat finansowy był taki, iż w roku bieżącym dano 6% dywidendy od wpłat udziałowych, mimo znacznych odpisów i dość hojnego zasilenia funduszów rezerwowych. Ta strona działalności naszych instytucyj finansowych zwróciła już uwagę prasy niemieckiej, która o nich, rzecz dziwna, z najwyższem uznaniem się wyraża. Najbardziej jednak zadowoleni są posiadacze akcyj; mówiono im tyle o tem, że pieniądze stracą, a tymczasem pieniądze te przynoszą odsetki o wiele wyższe od „dobrych“ papierów.

W Rogowie zdarzył się w ubiegłym tygodniu straszny wypadek, którego bezpośrednim powodem była najzwyklejsza próżność niewieścia. Dwu córkom tamtejszego szewca, zdrowym i silnym dziewczętom nie podobały się różne krzywdy, jakie im wyrządziła matka przyroda, nie dając bladych i ściągłych twarzy. Postanowiły tedy urodę swą zmienić. Droga, jaką starały się dojść do tej piękności, przyprawiła je o chorobę. Musiano wezwać lekarza, któremu chore nie wyjaśniły prawdy. Dopiero, gdy jedna z nich umarła, druga widząc śmierć przed oczyma, opowiedziała, że jadły zwyczajną kredę i że ona sama połknęła na raz pół funta. Pomoc lekarska okazała się daremną, a biedni rodzice utracili naraz dwoje dorosłych dzieci.

Z obowiązku naszego musimy zanotować, że p. rentmistrz Głembowiecki zamienił swe nazwisko na Glembo, stelmach Piotr Baś w Pile na Bartsch, kupiec Jan Gnoza w Bydgoszczy na Gnossa, wieś wreszcie Czajewo przechrzczono na Fridrichshöhe.

t. z.

WYSTAWA ETNOGRAFICZNA.

Gdy zabytkami kopalnymi, pogrzebanymi w ziemi — powiada Morgan w swoim dziele *Społeczeństwa pierwotne* — zajmą się uczeni przyszłości, pomniki: indyjskich sztuk, języków i instytucye zaginą. Znikają one codziennie przeszło od trzech wieków. Cywilizacya amerykańska pochłania życie etniczne pokoleń indyjskich, zamierają ich sztuki i języki, upadają instytucye. Po niewielu latach fakty, mogące być obecnie zgromadzone z łatwością, staną się niepodobnymi do odrycia.“ Te słowa badacza amerykańskiego powinni mieć w pamięci nasi miłośnicy zbiorów etnograficznych. Wprawdzie nie mamy takich bogatych jak Ameryka zabytków, któreby rzuciły wyraźne światło na zamierzchłe pokolenia, dały całokształt pierwotnych urządzeń i pojęć. Ale gdybyśmy zechcieli skrzętnie poszukać — na pozór mało znaczące zbiory wyświetliły by nie jeden doniosły szczegół. Nie wiem, czy pp. Janikowski i Jastrzębowski, urządzając w Warszawie stałą wystawę etnograficzną, mieli na myśli życie etniczne pierwotnych i obecnych pokoleń, zamieszkałych od Karpat aż do cieśniny Beringa, tudzież na szerokich obszarach Afryki; to tylko pewna, że wystawa ta zasługuje na szerszą uwagę i gorętsze poparcie. Niestety, tego rodzaju muzea zajmują u nas zaledwie niewielką garstkę miłośników. Przed kilku laty Dybowski nadzwyczaj ciekawymi owocami swych trudów na Syberyi, nie zwrócił powszechnej uwagi w Warszawie; następnie zaś Muzeum etnograficzne stworzone w celach naukowo-wychowawczych, przez J. M. Kamińskiego, doznało niepowodzenia. Obecna zaś wystawa ściąga tylko przypadkowych przechodniów lub gości warszawskich. A jednak mieści ona już sporo cennych i godnych uwagi okazów. Po za zbiorami afrykańskimi, kolekcyą broni bucharskiej i japońskiej, uprzężą sartów, bižuteryą chińską, przedmiotami gospodarki codziennej lapończyków i samojedów, wreszcie sporą garstką broszur azyatyckich, widzimy dużo przedmiotów ludu z Królestwa Polskiego i gubernii przyległych. Modele chat z dokładnem urządzeniem ich wnętrza, charakteryzują sposób urządzenia domowego włościan. Obfite zbiory kraszanek dają nie tylko pojęcie o czczeniu święta

wielkanocnego, ale także wskazują upodobania ludu do wzorów, deseni wielce różnorodnych na powierzchni jaj. Narzędzia rolnicze, tak zwane *sochy*, pługi pierwotne, brony o zębach dewnianych, najprostsze przyrządy tkackie, samodziały, ubiory, przedmioty amatorskie (fajki, kapelusze ozdobne) — stanowią w pewnej mierze charakterystykę przemysłu domowego i gospodarki rolnej a zatem — pierwotnej kultury ludu. Naturalnie są tam jeszcze wielkie luki, tak np. w zbiorach białoruskich widzimy tylko ubiór kobiety. Wogóle zaś niema w całości ani sprzętów gospodarstwa domowego, ani przedmiotów, świadczących o wszelkiego rodzaju przemyśle włościańskim i sposobach jego prowadzenia. Dotąd właściciele zbiorów prywatnych wzbogacili znacznie wystawę, od czasu zaś do czasu przybywają jakieś drobiazgi od osób prywatnych. Gdyby atoli wiadomości o istnieniu Muzeum etnograficznego były bardziej rozpowszechnione, niewątpliwie znalazłoby się jeszcze sporo cennych rzeczy, które spoczywają gdzieś w lamusach i na strychach jako graty niepotrzebne. Tym sposobem do ogólnej sumy danych o pochodzie rozwojowym ludzkości przyczyniłaby się i nasza wystawa etnograficzna. Na takim gruncie powinien stać widz inteligentny, którego oka nie ujdzie najmniejsza drobnostka, świadcząca o sposobach walki życiowej i żółwiego dążenia ku rozwojowi po za granicami techniki i kultury. Dziś machina wielkiego wytwarzania coraz szerszc zakreśla koła i wszystko wchłania lub zaciera, co znajdzie po drodze z urządzeń pierwotnych. Powinniśmy o tem pamiętać, ale nie w taki sposób, jak dobroduszny szlachcic, ubolewający nad tem, że w okolicach podmiejskich „kmiotek“ zrzuca kubrak i czapkę, a nakłada żakiet i kapelusz, że już się nie kłania i nie wita pana jak poprzednio, że zrywając z tradycyą, zaciera swą poczciwą prostotę i naiwność, mile przez dwory widzianą. Po odkryciu pokoleń indyan amerykańskich, przedstawiających zupełniejsze niż gdzieindziej trzy odrębne epoki etniczne, znalazły się tam nadzwyczaj obfite materyały do etnologii, filologii i archeologii. Ale ponieważ te nauki przed obecnem stuleciem, zaledwie były w zarodku (a i obecnie, jak słusznie ubolewa Morgan, bardzo skromnie są rozpowszechnione), więc nikt nie był przygotowany do owych poszukiwań. Niech kierownicy naszej wystawy etnograficznej starają się wszystko gromadzić z zakresu powyższych trzech nauk, dopóki czas jeszcze, a niewątpliwie będzie ich zasługa wielka. Pożądane byłyby także katalogi, chociaż tymczasowe, których brak nie tylko utrudnia oglądanie przedmiotów, ale niejednego może nawet zniechęcić do odwiedzania wystawy.

Zn. P.

PAMIĘTNIK.

Konwersya.

Mała część nawet tych, którzy przystąpili do konwersyi Listów ziemskich, rozumiała jasno całą tę czynność i swój w niej interes; większość poszła za zgodną radą całej prasy, która energicznie napędzała do zamiany papierów na niższoprocentowe. W czasopismach pojawiały się artykuły objaśniające, mniej lub więcej gruntowne, ale w wielu niedość jasne. My bowiem ciągle staramy się naśladować sławnych mówców na weselach chłopskich, którzy im więcej użyją szumnych i ciemnych wyrazów, tem większe sprawiają wrażenie. Niektóre też wywody, mające wytłomaczyć czytelnikom istotę konwersyi, były tak naszpikowane żargonem giełdziarskim, że dla pojęcia ich trzeba było co najmniej „stehen vor de Bank.“ Jeżeli tedy znajdują się tacy, którzy na podobieństwo jakiegoś abonenta *Gazety rolniczej* nie wiedzą jeszcze, co sądzić o dokonanej konwersyi, radzimy im przeczytać wyborną, bo przedewszystkiem jasną „odpowiedź“ w tem piśmie dr. T. Kowalskiego. Autor rozpatruje rzecz ze stanowiska kapitalisty (posiadacza Listów) i dłużnika (stowarzyszonego), wyliczając obu osiągnięte korzyści. Ostatni wszakże mniej zyska na zniżeniu procentu o ½ (przy 10,000 rs. różnica wyniesie zaledwie 50 rs. rocznie), niż na tem, że skutkiem bezterminowości nowych Listów dobieranie zamortyzowanej pożyczki, dotąd bardzo kosztowne, nie będzie pociągać za sobą żadnych wydatków. Za swoją pomoc w przeprowadzeniu konwersyi syndykat bankierów otrzymuje 1,130,000 rs. Dr. K. dotyka szczegółowo tej rany i wykazuje, że ona była nieuniknioną. Towarzystwo posiadało swego zapasu 1,500,000 rs., tą sumą (przy dopłacie 1½ rs. posiadaczom dawnych Listów, wogóle 1,695,000 rs.) nie mogło dźwignąć brzemienia kosztów i musiało uciec się o poparcie do twardej ręki bankierskiej. Ręka ta umie wyzyskiwać położenie i w czułości się nie bawi, nałożyła też mu ciężkie warunki, które trzeba było przyjąć ze względu na dalsze korzyści. Ktokolwiek jest obeznany z przywilejami i przewagą kapitału w dzisiejszym ustroju ekonomicznym, ten łatwo oceni ową konieczność. Syndykat nie wydawszy ani grosza na konwersyę, za samo tylko przyrzeczenie dostarczenia pieniędzy zgarnia milion rubli, które Towarzystwo musi mu zapłacić, gdyż musi oświadczyć posiadaczom Listów, że, jeśli się nie zgodzą na zamianę, natychmiast je pokryje gotówką. Dr. K. pociesza nas, że przy innych tego rodzaju operacyach bankierzy kazali sobie jeszcze więcej płacić za taką porękę.

Opuszczeni.

Nie chcielibyśmy osłabiać ofiarności ogółu — zresztą dość skromnej na korzyść ubogich dzieci, dla których urządzane są kolonie letnie; pragniemy jednak skierować uwagę miłosierdzia także w inną stronę, w którą ono prawie nigdy nie bywa zwracane. Mówimy o nieszczęśliwych wychowańcach przytułku Dzieciątka Jezus. Jakiekolwiek są warunki życia biednych dzieci, które posiadają rodziców, nie są to jeszcze warunki przebywania w ochronie szpitalnej. Nic też dziwnego, że podrzutki umierają w straszliwym procencie i podlegają stale rozmaitym dolegliwościom. W roku obecnym pewną ich ilość zakwalifikowano do Ciechocinka. Niestety, na ten cel potrzeba około 2,000 rs., a przytułek posiada 200! Nie łudzimy się nadzieją, ażeby w społeczeństwie, którego klasy zamożniejsze rozumieją tylko obowiązek szczodrego otwierania ręki dla sławnych śpiewaków i koncertantów, można było ukwestować brakującą sumę. Podrzutki nie uprawiają szyku, nie są eleganckimi oblubieńcami dam, nie przemawiają do świata ani wyćwiczonem gardłem lub palcami, ani sławą zagraniczną, lecz nędzą, wychudzeniem, skrofułami, wysypką skórną itp. Tego języka nie rozumieją ci, którzy odczuwają potrzeby mopsów i pinczerów, którzy im sprawiają kosztowne okrycia i zapisują wygodne dożywocia. Kontenci są, że wyrzucono „nieprawe“ niemowlęta do śmietnika — i dosyć. O zebraniu tedy 1,000 kilkuset rubli nie marzmy. Ale każdy dziesiątek, któryby litość złożyła na tym świętym ołtarzu niedoli, powiększyłby możliwość ratowania zdrowia nieszczęśliwych pasierbów społeczeństwa. Jeśli do Ciechocinka nie pojedzie 100, niech przynajmniej pojedzie 50 lub 30. Kto w sumieniu swojem nie znajdzie żadnego wyrzutu — niech im nie nie da.

Z dziejów „garnuszka.“

Mówiąc w swoim czasie o odkryciu, zrobionem u Skublińskiej, zauważyliśmy, że Skublińska nie jest żadną zwyrodniałą i wyjątkową osobą, ale dość powszechną instytucyą. Późniejsze fakty potwierdziły słuszność naszej uwagi. Wyśledzono podobne nory do zagładzania niemowląt w różnych miastach, a obecnie po raz drugi w Łodzi. I ten obraz jest niemniej straszny od poprzednich. Nizkie poddasze, 3 łokcie szerokie, 4 wysokie, z dwoma okienkami w dachu. W tej izdebce stoi piecyk z dwiema fajerkami, jedno łóżko z barłogiem słomianym, także kołyska, garnek z łyżką drewnianą i butelka od wódki. Było to mieszkanie niejakiej Wilczyńskiej, gałganiarki, przyjmującej dzieci „na garnuszek.“ Niewiele kosztowały one ją trudów i starań. Wychodziła bowiem — jak opowiada korespondent *Kuryera codz.* — o godzinie 2 lub 3 rano na poszukiwanie gałganów i wracała dopiero o 3 popołudniu. Przez cały ten czas dzieci pozostawały zamknięte na skobel i kłódkę pod opieką starego i ślepego psa, tak zniedołężniałego, że po uwięzieniu Wilczyńskiej nie chciał opuścić swego legowiska, a wyrzucony zeń, leży w sieni pode drzwiami. Gałganiarka napoiwszy dzieci wodą, piwem lub wódką z dolaniem zawsze odwaru makówek dla uspokojenia biedactw, ażeby płaczem nie drażniły sąsiadów, wetknąwszy w usta starszym kawałek kiełbasy, wychodziła znowu z izby, do której wracała wieczorem, zwykle późno. Jak zwykle, przypadek ujawnił tę nędzę i niedolę. Przy rewizyi znaleziono czworo dzieci w brudnej i cuchnącej kolebce, wychudzone aż do zupełnego zaniku ciała. Dwoje zaraz zmarło. Nadto za belką odkryto gnijący trup niemowlęcia, owinięty w szmaty. Śledztwo wykazało, że przez ręce Wilczyńskiej przeszło wiele noworodków, które ona zagłodzone zakopywała pod lasem miejskim. Słowem, wszystko jak u Skublińskiej. I znowu sądy będą miały kłopot w ocenieniu winy, na którą złożyła się nie tyle zła wola, ile klątwa ciążąca nad życiem dzieci nieprawych, nędza, upodlenie i przytępienie uczuć moralnych. Skrzywdzilibyśmy zwierzę, gdybyśmy powiedzieli, że Wilczyńska była bydlęciem, była ona bowiem czemś gorszem, czem tylko znikczemniały człowiek być może; trudno jednak uważać ją za zbrodniarkę, mordującą dzieci w widokach zysku. Jest to jeden z wrzodów ciała społecznego, który naturalnie trzeba wyciąć, ale także starać się o usunięcie przyczyn, które go wytworzyły. Niech „garnuszek“ przestanie być instytucyą wychowawczą.

Dobry przykład.

Od lat tylu śpiewano i wywodzone marzenia publiczności warszawskiej względem dróg żelaznych nareszcie urzeczywistniła kolej Terespolska. Nie tylko rozszerzyła ona czas korzystania z książeczek sezonowych (zawierających bilety tańsze o 30%) do 1 stycznia, ale nadto wprowadziła bilety dwudniowe (przyczem dwa święta liczą się za jedną dobę) z bezpłatnym powrotem. Dotychczas tę ulgę przyznawano tylko pasażerom pociągów spacerowych, wysyłanych w święta i niedziele, lub pątnikom częstochowskim; teraz na drodze Terespolskiej każdy może codziennie nabyć bilet aż do Mrozów i w ciągu 48 godzin za nim wrócić. Jest to już znaczny postęp w kierunku zasad kolejowych, stosowanych w całej Europie. Pozostaje tylko na tej drodze zmiana w ruchu korespondencyi pocztowej, przewożonej wbrew powszechnemu zwyczajowi pociągami pośpiesznymi, zamiast zwyczajnymi, które zatrzymują się nietylko na stacyach, ale również na przystankach. Mamy nadzieję, że i to wkrótce nastąpi, gdyż system dotychczasowy jest anachronizmem,

zarówno w interesie ogółu, jak i skarbu państwa, który ponosi znaczne straty na t. z. poczcie pantoflowej, skutecznie współzawodniczącej z rządową. Gdyby istniał pociąg, któryby zatrzymywał się co wiorstę, należałoby nim właśnie rozwozić listy, a nie przeciwnie — takim, który zatrzymuje się tylko na stacyach głównych. Ale mamy jeszcze drugą nadzieję, że inne koleje pójdą za przykładem Terespolskiej pod względem ulg biletowych. Trzeba wreszcie wyzwolić się z przestarzałej rutyny, którą już cały świat ucywilizowany zarzucił.

Z drugiej strony.

Autor zamieszczonego niedawno w *Prawdzie* artykułu p. t. „W obronie kobiet,“ widocznie oświetlił jeden z chorobliwych punktów naszego życia, sprowadził bowiem na nas grad listów, bijących mu poklask lub wyrażających protest. Nie możemy całego tego materyału drukować, pomieszczamy jeszcze tylko następujący list z drugiej — męzkiej strony:

Szanowny Redaktorze! Pani F. D. R. w swym przyczynku do artykułu „W obronie kobiet“ składa winę na mężczyzn, że oni to głównie pozbawiają je macierzyństwa.

Za pozwoleniem, łaskawa Pani! Skarga Pani obudzi współczucie w każdem *ludzkiem* sercu. Ale nie zawsze są winni mężowie. Jeśli Pani nie spotykała typu kobiet, o jakich mowa w artykule p. Ż., nie znaczy to, żeby ich u nas nie było.

Jestem człowiekiem, który właśnie chce zawrzeć związek małżeński. Wybrana jednak kobieta (panna), na czele warunków naszego małżeństwa stawia taki nr. 1: „Dzieci za nic, za nic nie chcę!“ — itd. W argumentach nie było mowy o względach materyalnych, które często są rzeczywistą a może nie tak głupią, jak sądzi p. F. D. R., przyczyną postępowania potępionych mężów; ale takie względy, jak np.: „Nie cierpię bachorów... Nie myślę męczyć się przez 9 miesięcy, a przez pół roku wyglądać jak potwór, aby mężowi dać przyjemności ojcowstwa... Wolałabym uprzątać chlewy, niż paprać się z pieluchami...“ — itp.

Inna znana mi kobieta (zamężna), gdy miała zostać matką, tak długo i rozpaczliwie „ratowała się,“ przywołując na pomoc „niebo i ziemię,“ aż wreszcie grożące jej „nieszczęście“ usunęła. Z takich to kobiet, a nie takich, jak p. F. D. R., rekrutują się szeregi „feministek.“ Z powyższego widać, że nie trzeba aż za oceanem szukać tego typu i że p. F. D. R. niesłusznie czyni, gdy, rozdzielając winę na obie płcie, rzuca między wierszami odpowiedzialność głównie na mężczyzn. Tłomaczę to sobie tem, że kobiety lubią pojedyncze fakty uogólniać i lubią występować w roli „ofiar.“ Czynią to często nawet wtedy, gdy wina jest wyłącznie po ich stronie; czynią to zawsze, gdy wina jest wspólna.

Że wiele wad współczesnego ustroju społecznego usunie w przyszłości normalniejsze wychowanie młodzieży (szczególniej kobiet), wierzę na równi z p. F. D. R.

Mam nadzieję, że zechcesz Sz. Redaktorze pomieścić te parę słów z zasady: „audiatur et altera pars.“

A....ski.

Karnawał letni.

Kuryery już otrąbiły rozpoczęcie się karnawału letniego w Warszawie. Innemi słowy: pracowici próżniacy wysypali się z salonów, buduarów i... biednych pokoików, umeblowanych przez lichwiarzów, do ogrodu Saskiego, w aleje Ujazdowskie i na plac wyścigów. W pierwszym parę tysięcy ludzi używa wczasu letniego po zimowym, rozmyślając filozoficznie, czy też ci, którzy na nich pracują, dostarczą im środków potrzebnych do próżnowania. W alejach odbywają się *corsa*, tj. biedacy, hołysze i bankruci usiłują naśladować garsteczkę ludzi bogatych i za ostatnie lub pożyczone pieniądze wynajmują sobie powozy dla przejechania się śród gapiów. Komu zostanie 10 rs. od tej rozrywki, ten idzie grać w totalizatorze i udawać „sportsmana,“ znającego się na koniach wyścigowych i wiedzącego, co to jest: *steeple-chase*, *handicap*, *kondycya*, *klasa* itp. głupstwa. Że lombardy przy tym „sporcie“ nabrzmiewają fantami z odzieży zimowej — zaledwie potrzeba dodawać. Jest to bowiem zjawisko, stale towarzyszące naszym „karnawałom“ letnim, jesiennym, zimowym i wiosennym (karnawał warszawski ma 365 dni).

Park ludowy.

Ucho jednego z „sylfów“ kuryerowych posłyszało, że zaniedbana obecnie i opuszczona część parku łazienkowskiego będzie odpowiednio urządzona na ogród ludowy. Projekt bardzo pożądany, lud bowiem miejski właściwie nie ma takich miejsc, gdzieby mógł trochę odetchnąć świeższem powietrzem. Przez cały tydzień płuca swe nasyca dymem i kurzem fabrycznym, opiłkami, zatęchłem zepsutem powietrzem w warsztatach rzemieślniczych, suterenach i na poddaszach i podczas gdy mieszkaniec widnych obszernych apartamentów w zdrowej dzielnicy miasta, lub pracownik biura o posadzce froterowanej, spędza chwile wolne w Saskim lub Botanicznym ogrodzie, robotnikowi wolno tylko zdaleka przyglądać się tym przybytkom cienia, ciszy, świeżego powietrza i woni. Człowiek z zasmoloną bluzą, czapką, twarzą i rękami w butach długich, nie pochłonąłby tak dużo powietrza iżby go miało zabraknąć elegantkom i elegantom; ale gdyby się znalazł przypadkowo w takim ogrodzie, naruszałby harmonię i obrażał smak. Miasta inne za granicą dbają również o stronę estetyczną i dla tego robotnik w swoim codziennym uniformie także nie ma prawa przekraczać granic wykwintnych parków. Ale tam istnieje masa skwerów i ogrodów dla wszystkich. U nas pracownik fizyczny tylko w dzień świąteczny dobrze się wyszorowawszy i włożywszy szaty „przyzwoite“ może na równi z innymi używać spacerów w ogrodach zakazanych. O tem, ażeby wracając z roboty, przysiąść trochę na ławce ogrodowej lub przejść przez parę alei, marzyć on nie może. Wraca z nory fabrycznej lub rzemieślniczej wprost do nory mieszkalnej. Wobec tego myśl urządzenia parku zasługuje na uznanie. Wreszcie po za tem sam fakt doprowadzania do porządku różnych zaniedbanych ogrodów jest dążeniem do uzdrowotnienia i upiększenia miasta. *Dr.*

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Widoki zbiorów. Według doniesień telegraficznych, otrzymanych w ministeryum skarbu od inspektorów podatkowych po dzień 15 maja, stan zasiewów ozimych w całem państwie, jak zaznacza *Prawit. Wiest.*, był w ogólności zadawalający. Najlepiej przedstawiają się oziminy na północy Kaukazu, wzdłuż całego niemal wybrzeża Donu i jego dopływów, wzdłuż średniego i dolnego biegu Wołgi i Kamy, oraz w środkowych guberniach t. zw. czarnoziemia, a zatem przeważnie w strefie, dotkniętej nieurodzajem w r. 1891, a zazwyczaj w plon najbogatszej. W pozostałych miejscowościach Rossyi europ., stan zasiewów jest według tych informacyi po części zadawalniający, a niezadawalniający tylko miejscami. Zasiewy gorsze niż śred., znajdują się w pewnych powiatach gubernij północno-zachodnich, południowo-zachodnich i południowych; zpośród gubernij zaś leżących w pasie czarnoziemu, niezadawalniający stan pól ozimych, jest tylko w kilku powiatach gubernii chersońskiej, ekaterynosławskiej, kijowskiej i podolskiej. Ze zboża ozimego ucierpiała najbardziej pszenica w Królestwie Polskiem, natomiast prawie wyłącznie żyto ozime, pszenica zaś prawie wcale. Przyczyną złego w niektórych miejscowościach stanu ozimin, są chłody wiosenne. Z początkiem maja z nastaniem ciepła i ciepłych deszczów polepszyły się warunki atmosferyczne. Zasiewy ozime ożywiły się znacznie, a w tym samym stosunku wzrosła ilość miejscowości, które mogą liczyć na pomyślne zbiory.

Co do zboża jarego w miejscowościach, w których można już orzec, coś o jego stanie, mianowicie na południu państwa, przedstawia się ono zupełnie dobrze, a to dzięki pięknej pogodzie, jaka ustaliła się od maja i obfitym zapasom wilgoci w gruncie.

Bank górniczy. *Peterb. wied.* donoszą, iż grupa przedstawicieli górników z Królestwa Polskiego oraz z okręgów górniczych donieckiego i uralskiego z udziałem kilku kapitalistów zakłada bank górniczy z kapitałem zakładowym 6 milionów rubli. Działalność banku skupiać się będzie w dwu oddziałach, przyczem w pierwszym prowadzone będą obroty z kredytem długoterminowym, w drugim — handlowe. Pożyczki długoterminowe wydawane będą na majątki górnicze w listach zastawnych 6% z amortyzacyą w ciągu 46 lat. Bank mieć będzie swoje filie w różnych okolicach państwa.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Peterb. wied.* donoszą, iż p. minister spraw wewnętrznych złożył w radzie państwa opracowany w departamencie obcych wyznań projekt zmian w przepisach, dotyczących żydowskich instytucyi dobroczynnych. Mają one być w ciągu roku wyjęte z pod władzy synagog i poddane ogólnym prawom obowiązującym.

— Dzienniki Petersburskie donoszą, iż ministeryum skarbu złożono projekt utworzenia Towarzystwa wzajemnej pomocy dla emerytów. Celem jego — wydobycie emerytów z rąk lichwiarzy, którzy z przyjmowania na zastaw książeczek emerytalnych zrobili sobie specyalny proceder.

— Dla zbadania o ile osuszenie błot poleskich może wpłynąć ujemnie na stan wód w rzekach najbliższych wodozbiorów, delegowana została specyalna komisya pod przewodnictwem A. A. Tilla.

— *Warsz. Dniew* pisze, że według otrzymanych wiadomości w ciągu kwietnia r. b. z gubernii łomżyńskiej emigrowało do Ameryki 186 osób. Największa liczba przypada na powiat kolneński, z którego wysiedliło się do 140 włościan, z kolei idzie powiat makowski, który dostarczył 28 emigrantów; reszta przypada na powiat szczuczyński. Emigrują prawie wyłącznie mężczyźni, tj. albo bezżenni parobcy, albo ludzie familijni pozostawiający w kraju żony i dzieci. Z liczby wychodźców trzej tylko są żydzi, resztę stanowią sami katolicy.

Szkoły. Dzienniki petersburskie donoszą, iż w uniwersytecie jurjewskim, od nowego roku akademickiego, zniesioną będzie posada prosektora, a w zamian powstanie urząd inspektora studentów.

— Na przedstawienie rady uniwersytetu warszawskiego, władza ministeryalna zatwierdziła na trzyletnią kadencyę prof. Lubowicza dziekanem fakultetu historyczno-filologicznego.

— Dyrekcya szkół ludowych w gub. kowieńskiej wystosowała do władzy wyższej podanie, w którem projektuje ustanowienie przymusu szkolnego w obrębie tej gubernii.

— Jednocześnie z poruszoną powtórnie sprawą przekształcenia kursów lekarskich dla kobiet, postanowiono urzeczywistnić dawny projekt otwarcia równoległych kursów na uniwersytetach dla niższego personelu lekarskiego, zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Kursy te mają być trzyletnie, od kandydatów zaś wymagane będą kwalifikacye z ukończenia szkoły średniej. Nauka udzielana będzie bezpłatnie, z warunkiem wszakże przesłużenia następnie kilku lat w instytucyach skarbowych.

— Poruszono sprawę powiększenia liczby szkół fabrycznych i odpowiedniego ich zreformowania.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż ministeryum oświaty rozesłało w tych czasach okólnik do wszystkich okręgów naukowych, w którym zaleca zakładanie

przy szkołach ludowych ogrodów, sadów, szkółek owocowych i pasiek.

— Według doniesień *Birż. Wied.* ministeryum oświaty zamierza wziąć w swoje ręce sprawę nauczania dzieci robotników fabrycznych, z uwagi na małe rezultaty, osiągnięte dotychczas przez zastosowanie prawa o pracy małoletnich.

Komunikacye. Ministeryum komunikacyi postanowiło wprowadzić specyalny podatek od żeglugi z przeznaczeniem go na cele ulepszeń w zakresie komunikacyi wodnej.

— Na podwyższenie płac zarządów okręgów komunikacyi wodnych i szosowych, rada państwa przeznaczyła na drugą połowę roku rs. 150,000. (*Grażdanin*).

— Wkrótce ma być urządzona linia telegraficzna pomiędzy Chełmem, a Wojsławicami.

— Ministeryum komunikacyi przystąpi niebawem do robót regulacyjnych na Dnieprze, Dniestrze i Wiśle pod Warszawą.

Trupa ruska rozpoczęła swe przedstawienia w teatrze Wielkim.

Bibliografia. Dr. E. Madeyski. *Dyetetyka dzieci*, przewodnik w zdrowem pielęgnowaniu dzieci od przyjścia na świat aż do dojrzenia, wyd. II, str. 256.

— Dr. A. Sokołowski, *Leczenie klimatyczne suchot płucnych* (Odczyty kliniczne wyd. przez *Gazetę lekarską*), str. 50, kop. 30.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu prenum. w Siedlcach. Jest to wiersz z Georgik Wirgiliusza a znaczy: „Drobny jest przedmiot, lecz sława niemała“. Szczegółowe objaśnienia w *Księdze przysłów* Czaplińskiego.

Prenumeratorowi z Kowna. O ile nam wiadomo, żadne z tych dzieł nie jest przełożone na język polski.

Z. Kosa. Podręczników niemieckich, pisanych jednak stronnic, jest bardzo wiele, a niektóre przejrzeć Pan może w księgarni Wendego. Niezła jest Dittmana *Neueste Geschichte* (Weltgeschichte tom V), bardziej wyczerpująca, choćiaż klerykalizmem zabarwiona Bullego *Geschichte der neuesten Zeit* (cztery małe tomy).

Panu K. L. w Krakowie. Czy Pan zna *Prometeusza* Shelleya? Jeśli nie—to niech go Pan pozna i porówna ze swoim wierszem, którego słabość wystąpi wtedy jasno.

Nauczyciel potrzebny jest od 1-go września r. b. do dwóch chłopców 12 — 13 lat wieku, dla przygotowania ich do wyższych klas gimnazyalnych. Wymagana jest gruntowna znajomość języków polskiego i ruskiego, literatury klasycznej zarówno jak i nauk przyrodniczych. Wyznanie rzymsko-katolickie. Oferty wraz z fotografią, świadectwami i curiculum vitae, przesyłać pod adresem: P. Lutosławska, przez Łomżę w Drozdowie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Мая 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.